

Przypominamy Marka Hłaskę - „Pierwszy krok w chmurach”

str. 6-7



Fot—CAF

ROZMOWA Z BONKIEM

str. 4-5

*Sympatykom piłki nożnej
przyjemnych wstrząsów „Espana '82”
życy
dobrych.*

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

kamena

NR 5 (750)

6 - 19 czerwca 1982

CENA 10 ZŁ

Zapraszamy do wspólnej zabawy

KTO WYGRA ESPANA '82 ?

KAŻDY kibic futbolu w Polsce wiąże z Mistrzostwami „Espana '82” określone oczekiwania, ma swoich faworytów, swoje typy. Proponujemy Wam zatem zabawę-konkurs. Spróbujcie ustalić pierwsze trzy drużyny Mistrzostw i wynik meczu finałowego. Dla najlepszych znawców rzeczy przewidzieliśmy atrakcyjne nagrody związane tematycznie z piłką i hiszpańskimi mistrzostwami.

Być może pewnym ułatwieniem będą przewidywania kilku fachowców. Trener KAZIMIERZ GÓRSKI: RFN, Brazylia, Hiszpania. Bramkarz biało-czerwonych JÓZEF MLYNARCZYK: ZSRR, Brazylia, RFN. Bohater z Wembley JAN TOMASZEWSKI: RFN, Hiszpania, Brazylia.

A jakie są wasze przewidywania? Wpiszcie je w zamieszczony niżej kupon, naklejcie go na kartę pocztową (tylko i wyłącznie) i wyślijcie pod adresem: KAMENA, skr. pocztowa 231, 20-950 Lublin. Zróbcie to najpóźniej do 12 czerwca br. (decydować będzie datownik pocztowy).

KUPON

Konkursu „Espana '82”

Typuję następującą pierwszą trójkę Mistrzostw:

1. _____
2. _____
3. _____

Typuję następujący wynik meczu finałowego:

Imię i nazwisko: _____

Adres: _____

Wychowując w tłumie

Henryk Soćko

WPUBLICYSTYCE dość często wraca się ostatnio do problematyki wychowawczej szkół. Zjawisko przybiera charakter kolejnej akcji, jeżeli nawet tą nazwą nie operuje się zbyt często lub wcale. Zastanawia przy tym, dlaczego w tak ważnej sferze bytu zbiorowego, jaką określają kwestie wychowania dzieci i młodzieży, stosuje się u nas od lat metody dyskusji przenoszone mechanicznie z innych dziedzin życia społecznego, czy nawet gospodarczego? Wiadomo przecież, że takie zabiegi nieuchronnie prowadzą do upraszczania wizji procesu wychowawczego.

O problemach pedagogicznych mówi się u nas nierzadko, niemal jednym tchem łącząc je zwykle z oświatą — i słusznie, tylko że w zestawieniu „oświata i wychowanie” pozostawia się często ten drugi człon pojęciowy bez głębszej analizy przyczyn wielu porażek w działaniach wychowawczych. Wbrew pozorom, tego rodzaju równanie ma swoje implikacje w pojmowaniu problemów wychowawczych jako samo przez się zrozumiałych, nie wymagających osobnego zastanowienia się nad źródłami niepowodzeń w tej dziedzinie na terenie szkoły. Stąd chyba zainteresowania sprawami wychowaw-

czymi mają charakter akcyjny, odżywając w okresach szczególnych naszych dziejów najnowszych. Dla przykładu wspomnieć tu można o akcji zwalczania chuligaństwa na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, albo o praktyce z końca lat sześćdziesiątych, kiedy to ogłoszono batalię o stworzenie silniejszych powiązań między środowiskami wychowawczymi szkoły i domu rodzinnego. Obecnie jesteśmy świadkami kolejnej akcji na tym polu, trudnej do bliższego sprecyzowania, bo dopiero rozkręcającej się, a wywołanej ogólnie znanymi przyczynami natury społeczno-ekonomicznej i politycznej.

Doświadczenia uczą, że akcje mijają, życie toczy się swoim torem, stawiając kolejne problemy, które nakładają się na nierozwiązane w okresach poprzednich. I choć nie można odmówić racji wielu postulowanym niegdyś sposobom usprawnienia działań wychowawczych, choćby wspomnianej integracji środowisk, to przecież trzeba uświadomić sobie, jak niewiele konkretnych efektów dały te zabiegi.

Dokończenie na str. 9

z notatnika

19 V. Szczęśliwym. W centrum miasta, na rynku, restauracja. Nowy budynek, ale miejsce ustronne urąga podstawowym zasadom higieny. Kuchnia serwuje tylko flaki i pierogi z mięsem. Dobre i to. Coś w rodzaju lemoniady kosztuje 24 zł za butelkę. (Może razem z kaucją na flaszkę?) W bufecie kilka gatunków alkoholi. Czysta po 500 zł za pół litra. W Lublinie miałyby powodzenie!

Nad tą baterią wódek — krzyż. Miejscowy proboszcz chyba tu nie zagląda. Zapewne zwróciłby osobliwej uwagi na niestosowność tej symbiozy.

23 V. Ukazał się pierwszy po wznowieniu numer tygodnika „Rzeczywistość”. Zwykle pisma podają w nawiasie kolejny numer pisma od jego założenia. Tym razem tego zabrakło. Czy to tylko przypadek?

W niektórych lubelskich kioskach można nabyć wrocławski tygodnik polityczno-społeczny „Sprawy i ludzie”, redagowany przez Juliana Bartosza, znanego niemcoznawcę. Zwróciłem uwagę na interesujący tekst, otwierający numer, pióra Waława Dominika na temat porywaczy samolotu. Streścić trudno, mogę tylko polecić lekturę, zwłaszcza, że „ciąg dalszy nastąpi”.

A swoją drogą dobrze by znaleźć w Lublinie taki punkt sprzedaży „Ruchu”, w którym można by było nabyć każde czasopismo ukazujące się między Bugiem a Odram. Takie np. zielonogórskie „Nadodrże” trafia do lubelskich kiosków w liczbie... czterech egzemplarzy. Trzy nie znajdują nabywców. Kiedyś chciałem kupić pewien numer „Nadodrza”, ale było to szukanie igły w stogu siana. Sądzę, że podobnie jest z „Kamienią” w Zielonej Górze... Mam zresztą sygnały z Gdańska i Krakowa, które o tym świadczą wymownie. Nad jakimś rozwiązaniem warto pomyśleć!

24 V. Żeby to był rzeczywiście dobry START! Tak nazwał Amerykanie (w przeciwieństwie do poprzedniego SALT) mające nastąpić nowe rozmowy amerykańsko-radzieckie na temat redukcji broni nuklearnej. „Przemianowanie SALT na STAR — miał wg agencji UPI powiedzieć „radziecki planista strategiczny” Lew Siergiejko — nie zmieni niczego, jeśli okaże się, że jest to fałszywy start...”

Tymczasem amerykański dziennikarz, znawca strategii nuklearnej, Strobe Talbott, opublikował na łamach tygodnika „Time” obszerny esej pt. „Życie z mega-śmiercią”. Hamburgski tygodnik „Die Zeit” przedrukował ten tekst, dając mu tytuł: „Życie ze śmiercią atomową”. W sumie jest to wszystko sprzeczające. My, zajęci własnymi sprawami, często sidiłami między sobą, rozgorączkowani, zapominamy, w jakich czasach przyszło nam pojawić się na tym najwspanialszym ze światów.

„Jeśli — stwierdza Talbott — w wyniku strategicznej wymiany siódem” w pierwszej salwie dojdzie do eksplozji większej części broni atomowej obu stron, prawdopodobnie ziemia ruszy natychmiast

ku dalekim gwiazdom i splonie. Oznaczałoby to totalną śmierć”.

Talbott w innym miejscu swego eseju podaje fragment rozważań Jonathana Shella z książki „Los Ziemi”. Shell twierdzi, że wielokrotna eksplozja broni termojądrowej dosłownie zerwałaby światła dach nad głową: skutkiem takiej eksplozji byłoby zniszczenie warstwy ozonu, chroniącej nas przed promieniowaniem ultrafioletowym. Ktokolwiek by to przeżył, musiałby oślepnąć!

Książkę Shella zrecenzował „The Washington Post”.

„Publikacja prasy Shella nastąpiła we właściwym czasie. Dotąd demokracja amerykańska nie uczestniczyła w najmniejszym stopniu w wielu tych decyzjach, które uczyniły z wojny jądrowej nieodłączny aspekt jej życia codziennego. Opinia publiczna nie miała nic wspólnego z decyzją prezydenta Trumana rozbudowy arsenału termojądrowego czy też zagrożenia Związkowi Radzieckiemu „zmasowanym odwetem w chwili i miejscu, które sami określimy”. [...] Były to decyzje, które zapadły w Białym Domu z udziałem tylko dowódców sił zbrojnych. [...] Większość Amerykanów nie wiedziała i nie wie nadal, czego dokonano w ich imieniu. [...] Dopiero ostatnio pojawiły się u nas oznaki, że opinia publiczna budzi się w przerażeniu. Przerażenie to zaczęło się jako zjawisko oddolne, ale legislatury stanowe i Kongres zaczynają się teraz angażować, a dobrowolne organizacje, łączące zatrudnianych potrzebą wstrzymania zbrojeń jądrowych, zaczynają jednoczyć się”.

„The Washington Post” cytuje rozważania Shella: „Cena zwycięstwa, które dawniej było celem wojen prowadzonych przy użyciu środków konwencjonalnych, a która była także środkiem zagrożenia agresorowi karą, stała się obecnie niemożliwa do zaakceptowania. Konflikty jądrowe nie dadzą się w żaden sposób porównać z wojną konwencjonalną. Prawie każdy wie, co oznacza wygranie wojny konwencjonalnej. Zwycięzca rozbija siły wroga, dokonuje inwazji na jego terytorium, dyktuje warunki kapitulacji, okupuje kraj, a zwłaszcza stolicę, rozbraja i przejmuje kontrolę nad pokonanym rządem i narodem. Jakże tego rodzaju wydarzenia mogłyby nastąpić po wzajemnych atakach jądrowych? Tak Stany Zjednoczone, jak i Związek Radziecki znajdowałyby się w stadium głębokiego szoku fizycznego i psychologicznego.”

Zalóżmy, że jakiś ocalały amerykański przywódca polityczny lub wojskowy stara się działać jak zwycięzca. W jaki sposób mógłby ogłosić z ocalałej siły robotniczej front wewnętrzny, gdzie byłaby ona desperacko potrzebna do wszelkiego rodzaju akcji ratowniczych i do odbudowy? Gdzie znalazłby środki dla zgromadzenia wystarczających sił zbrojnych i sprzętu i jak przetransportowałby je do kraju przesyconego promieniotwórczością i zrównanego z ziemią oraz wtrąconego w stan chaosu? W jaki sposób ustanowiliby kontrolę nad nim? Oczywiście

żadna ze stron nie mogłaby korzystać z tradycyjnych owoców wojny, które były przecież jej celem. W przeszłości było dość czasu na rozwój nowych technologii, a służby wojskowe mogły zastanawiać się nad rozwiązaniem problemów wobec jakich stały. Teraz nie będzie już czasu na odkrycie na podstawie doświadczeń, że wojny jądrowe nie są do wygrania”.

Wojny jądrowe nie są do wygrania... Już dziś. Ale mimo tego sztuka wojenna rozwija się dalej. Chocierne kosztowna jest ta sztuka dla sztuki... Ba! Żeby to zawsze była tylko sztuka dla sztuki!

25 V. Tempo rzeczywiście zawrotne! Musiały minąć aż trzy tygodnie od ukazania się w kioskach 3 n-ru „Kamenu”, aby „EFEP” na łamach „Sztandaru Ludu” — między KAR-em i PAP-em — odpowiedział mi na mały fragment „notatnika”, który poświęciłem jego publikacji. Biorąc pod uwagę częstotliwość ukazania się dwutygodnika w porównaniu do częstotliwości ukazania się dziennika, mam sporo czasu (ponad pół roku) na ripostę. Zanim ona nastąpi, chciałbym tylko zauważyć, że nie lubię w nieskończoność polemizować z... indyjalami. Swoje teksty przyzywkami podpisywałem nazwiskiem — zarówno przed jak i po „trzynastym”, zupełnie więc niepotrzebnie, powiadamiałbym dezinformująco, stwierdza „EFEP”, że to „MAJ” daje mi „po oczach z właściwym sobie wdziękiem i przenikliwością”. Ale, jak mówi niemieckie przysłowie, „jeder sieht durch seine eigene Brille”...

26 V. Konflikt argentyjsko-brytyjski nie gaśnie. Konflikt? Dziś to już jest nie konflikt, ale wojna, nie wypowiedziana zresztą przez nikogo. Dobre obyczaje, jeśli w wypadku wojny można o takich mówić, należą do przeszłości.

Na Falklandach—Malwinach wyładował desant wojsk brytyjskich. Londyn twierdzi, że desant ów liczy teraz 5000 ludzi, Buenos Aires, że 500. Obie strony, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, podają zupełnie inne dane dotyczące wzajemnych strat.

W każdym bądź razie Żelazna Dama, pani Margaret Thatcher, przeforsowała swój twardy kurs, a ostatnio uprzejmie, ale zdecydowanie odpowiedziała na apel Jana Pawła II o zawieszenie broni. Delikatność sytuacji pogłębia zapowiedziana w Wielkiej Brytanii wizyta papieska. Ma ona dojść do skutku, aczkolwiek nie dojdzie do skutku spotkanie papieża z Margaret Thatcher. Jan Paweł II oświadczył w ub. tygodniu dziennikarzom, że traktuje tę wizytę jako niezmiernie ważną z przyczyn pasterskich i ekumenicznych. Przypomnę, że jest to pierwsza w historii wizyta papieska na ziemi brytyjskiej. A Wielka Brytania i Stolica Apostolska pełne stosunki dyplomatyczne nawiązały dopiero w marcu br. — znowu po raz pierwszy od czasu, gdy król Henryk VIII zerwał stosunki z papieżem Klemensem VII w 1534 r. Dlaczego zerwał, pamiętamy jeśli nie z lekcji historii to z serialu telewizyjnego: Klemens VII odmówił anulowania małżeństwa Henryka VIII z jego pierwszą żoną, Katarzyną Aragońską.

Po 450 latach papież-Polak próbuje zasypać przepaść między katolikami a anglikanami.

Zadanie nie jest wcale takie łatwe...

M. A. Jaworski

LISTY DO KAMENY

Dwugłos o „Kamenu”

Redakcjo! Ostatni pomarańczowy numer „Kamenu” przeczytałam od deski do deski. Szkoda, że tylko 12 stron, no i szkoda, że pismo ukazuje się raz na dwa tygodnie. Nie możecie się postarać, aby „Kamena” stała się wreszcie tygodnikiem? Może 50-lecie pisma będzie ku temu okazją? Z niecierpliwością czekam na następny numer. Zachęciłam sąsiadów, by też „Kamena” czytali.

Maria Makowska
Puławy

„Nie podoba mi się „Kamena”, bo zbyt mało uwagi poświęca problematyce literackiej, a te wiersze, które drukuje, nie przemawiają do mnie. Czy poezja polska rzeczywiście skończyła się na Wielkim Konstantym Ildefonsie?

Z. R.
Lublin

Forsę wzięto i...

„Kurier Lubelski” poruszył kapitalny problem — chodzi o przedplaty na samochody. PKO wzięła pieniądze, potem przyszło losowanie, mnie się poszczęściło, samochód mam otrzymać w tym roku. Mam otrzymać... Czytam, że spośród wylosowanych na ten rok maluchów w liczbie 8423 lubelski Polmozybit dostarczył zaledwie 1403, a tu już koniec maja. [...] Zapowiada się, że 5000 potencjalnych nabywców odejdzie z przysłowiowym kwitkiem. Wychodzi na to, że przedplaty to kolejna nieprzemysłana decyzja. Kolejna, bo „Rzeczpospolita” skrytykowała np. ubiegłoroczne postanowienia o wcześniejszym przechodzeniu na emeryturę. Czy nikt nie mógł przewidzieć, że spowoduje to określone trudności w zakładach, skąd często odejdą przed czasem fachowcy wysokiej klasy? Czy nie mogła tego skrytykować wcześniej chociażby sama „Rzeczpospolita”? Znowu wychodzi na to, że Polak mądry po szkodzi.

Michał Z.
Lublin

„Toto-Lotek” też!

„Toto-Lotek, idąc z duchem czasu, podwyższył opłaty na zakłady piłkarskie. O 100 procent! [...] Grywałem w systemie. Wydawałem 512 złotych tygodniowo i w sumie wychodziłem rocznie nie tylko na swoje, ale i miałem małą nadwyżkę. Teraz nie stać mnie na ryzyko 1024 złotych i gram za grosze. Nie wiem, czym kieruje się przedsiębiorstwo i bardzo mnie ciekawi, jak przedstawiają się teraz obroty. Znajomi kioskarze twierdzą, że są prawie takie same. Myślę, że mogą być i mniejsze, bo ludzom pieniądze ubywa. Dlaczego więc pozbawia się ich możliwości małego hazardu, skoro na duży rzadko już kogokolwiek stać?

Stanisław Bukowski
Lublin

O transporcie

W moim przedsiębiorstwie transportowym (tu uwaga czytelnika: nazwa do wiadomości redakcji) prawie wszystkie samochody nadal jeżdżą, chociaż są one coraz bardziej puste, a ogumienie wola o pomste do nieba. Nikt nie pomyśli nad tym, że można wykorzystywać tylko część tabors, ale za to solidniej, korzystać z przyczep. Kierowców, którzy chwilowo nie mają pracy, można „przekwalifikować” na kierowców.

Osobny problem to wyjazdy w teren. Dyrekcji nie interesuje, gdzie będą spać. W motelach mówią kierowcom, że nie ma wolnych miejsc, a to często zwykła bzdura. Kierowcy nie dają agentom w motelach zarobić. Tam potrzeba gości z forsa, którzy zamówią koniak za ileś tam tysięcy. Czy nie można tak załatwić, by każdy motel miał pokoje przeznaczone wyłącznie dla kierowców z transportu i dopiero, gdyby ci się nie zjawili, mógł je odstąpić innym? Ostatecznie troska o czystość pracy nie może być hasłem bez pokrycia!

Z. B.
Lublin

KRONIKA

• W drugiej połowie maja minęła 70 rocznica śmierci Bolesława Prusa, szczególnie uroczyste obchodzona w Hrubieszowie, gdzie pisarz przyszedł na świat, oraz w Nalęczowie — urodzisku odwiezanym przez autora „Piszczyki” w latach 1842—1848.

• Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki powołał prof. dr hab. Józefa Szymańskiego na stanowisko rektora UMCS. Prorektorem uczelni zostali: prof. dr hab. Jan Malarezyk, prof. dr hab. Eligiusz Modrzejewski oraz prof. dr hab. Tadeusz Łopozko.

• Osiem teatrów — z Krakowa, Lublina, Łodzi, Rzeszowa, Torunia, Kielc, Warszawy — zapowiedziało udział w Zamojskim Leście Teatralnym. Impreza, która posiada już sporą tradycję i sympatie mieszkańców miasta, zainauguruje Teatr STU. Naturalnie wystąpi także „Ochota” Jana Machulskiego, od początku związana z tym pożytecznym przedsięwzięciem kulturalnym.

• Trwające od 1989 r. kontakty historyków UMCS i Uniwersytetu im. Łojasa Kosutha w Debreczynie zaakcentowano niedawno drugą z kolei wspólną konferencją problemową, która pn. „Lublin — Debrecen 1944” odbyła się 26 maja w naszym mieście. Węgierscy goście zwiedzili ponadto Majdanek, Sandonierz oraz miejsca bitew partyzanckich w Lasach Janowskich i Puszczy Solskiej.

• Niedawno pisaliśmy o sukcesach lubelskiego rzeźnika, Stanisława Góreckiego, w Republice Federalnej Niemiec, a tymczasem znowu dowiadujemy się, że artysta w dobrym towarzystwie europejskim wystawia

w Strasbourgu, aby następnie pokazać prace w Szwajcarii.

• Zdobyte meble w handlu lubelskim to problem niebagatelny, więc zdumiewa nas podana przez „Kurier Lubelski” informacja dyrekcji Zamojskich Fabryk Mebli, jakoby odpowiednio instytucje nadbystrajskie nie były zainteresowane w kupowaniu od nich większych partii — ch poszukiwanych wyrobów, oferowanych przez producenta w pokazanych ilościach.

• Władze i poczta obiecuja, że od 1993 r. województwo lubelskie zyska sporo nowych linii i aparatów telefonicznych, m.in. dzięki utworzeniu lokanego przedsiębiorstwa robót telekomunikacyjnych. Obecnie w województwie na 100 mieszkańców przypada 3,3 aparat, przy średniej krajowej 5,8.

• W Muzeum Okręgowym w Lublinie czynna jest wystawa medalii i rzeźb wybitnego artysty Bronisława Chromego, nałożony w puławskim Domu Chemika można oglądać fotografie Zbigniewa Zagaja.

• 26 maja, w 181 rocznicę urodzin gen. Władysława Sikorskiego, odsłonięto w Chelmie pomnik tego wybitnego Polaka (zaprejektowany przez Bohdana Chmielewskiego).

• W skład Obywatelskiego Komitetu Obchodów 300 rocznicy Odsieczy Wiedeńskiej, któremu przewodniczy prof. Henryk Jabłoński, wybrano m.in. naukowców z KUL: ks. prof. Mieczysława Krapca (rektora wczelni) oraz prof. Zygmunta Sulowskiego.

• W foyer Teatru im. J. Osterwy w Lublinie Tadeusz Kuduk pokazał cykl prac plastycznych pt. „Dramatu ciąg dalszy”, będący lubelską impresją na temat nardzin i realizacji spektaklu sztuki A. Czechowa „Iwanow”. Krecz warta skupionej uwagi.

• Niemal 40 lat po ukończeniu wojny odkryto w centrum Lublina niewielki magazynek z pominiętą amunicją (m.in. pociski do moździerzy) ukryty kilkadziesiąt centymetrów pod ziemią. Naprzecy rozbroił arsenał.

Miłość czy bezeceństwo?

ZDANIA były podzielone: jedni widzieli w obrazie imponującą fallus, zwieczony nagą damą, alegorią kobiecego organu płciowego, inni tylko konar drzewa z owocami, na którym spoczęło dziewczę. Niestety, dzisiaj nie jesteśmy już w stanie rozstrzygnąć tego podniecającego sporu, albowiem czas i wilgoć osłabiły czytelność malowidła. Z ostatnim bodaj opowiadaniem się po stronie tej pierwszej interpretacji zetknąłem się w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to gospodarze galerii „Labirynt”, opiekujący się pomieszczeniem z polichromią, pokazali w nim erotyczne rysunki Jana Dobkowskiego i wyświetlili kilka filmów awangardowego „podziemia”, z których jeden przedstawiał tzw. miłość francuską między rośliną o mięsistej łodydze, a młodzieńcem o kiepskim zarobku, z ogromnym zadowoleniem wchłaniającym w usta i wydalającym bogu ducha winny twór natury.

W skład polichromii w piwnicy staromiejskiej kamienicy Rynek 8 w Lublinie wchodziły zresztą i inne obrazy kpiące z moralności mieszczańskiej czy chrześcijańskiej. Sugerują one, że za pieniądze można kupić żonę i przyjaciół, w dwuznacznym świetle przedstawiają miłość małżeńską — wychylając wolne związki erotyczne i zmysłowe wartości tego świata, przed którymi uginają się nawet ludzie szacowni i dostojni. Dla nas, współcześnie żyjących, nie byłoby może w tym nic intrygującego, gdyby nie fakt, że pokrywające sklepienie i boczne ściany piwnicy malowidła powstały zapewne w latach 1560—1580.

Kulturowa wartość polichromii polega przecież na czymś innym. Otoczone roślinnym, renesansowym ornamentem, owalne lub prostokątne obrazy zdają się konsekwentnie realizować określony program ideologiczny, autoryzowany przez środowiska innowiercze ówczesnego Lublina i pobliskich terenów. O ich sile może świadczyć fakt, że w rękach kalwinów i arian znajdowało się 39 świątyń, rozsianych w okolicach miasta, a tylko 16 należało do katolików. Walcząc o uznanie dla swoich racji, opartych o humanistyczny i świecki ideał życia, wtykając ortodoksji katolickiej permanentne odstępstwa od norm etycznych przez nią ustanowionych — innowiercy posługiwali się różną bronią. Czasami miała ona postać fizycznej manifestacji — czego przykładem postępek Erazma Otwinowskiego, znanego poety, który prowadzącemu procesję księdzu wyrwał monstrancję i podeptał ją, znajdując potem obrońcę w Mikołaju Reju — najczęściej były to jednak różnego rodzaju pisma, poetyckie lub publicystyczne, o charakterze satyrycznym i propagandowym, nie mówiąc już o bezpośredniej retoryce i stosownych rycinach.

Treść napisów i malowideł w staromiejskiej piwnicy wskazuje, że scenariusz całej polichromii powstał w kołach innowierczych, w intencjach propagandowych. Pomieszczenie pełniło wtedy rolę winiarni, było zatem miejscem szczególnie chętnie uczęszczanym przez lublinian i gości krajowych oraz zagranicznych, którzy licznie odwiedzali miasto, kwitujący ośrodek gospodarczy, polityczny i kulturalny. O ówczesnej randze Lublina może świadczyć projekt przeniesienia do stolicy państwa z Krakowa, powstały w 1569 roku, a także utworzenie tu Trybunału Koronnego dla Małopolski. Do bogatego i ruchliwego miasta napływali też cudzoziemcy z Zachodu, niejednokrotnie w ucieczce przed represjami religijnymi we własnych krajach, osiedlając się w Lublinie na stałe. Najliczniejszą grupę tworzyli Niemcy (ok. 200), następnie Włosi (do 145) oraz Szkoci i Francuzi.

Wybór winiarni jako miejsca wizualnej manifestacji ideologicznej i propagandy był więc znakomity. Oparcie programu malowideł na motywach literackich znanych ze starożytności i wysokiej kultury renesansu poświadcza przy tym, że ich twórca dysponował znacznym wykształceniem, a sam lokal oczekiwał gości edukowanych i zamożnych, którzy w towarzystwie wesolych dziewcząt zaśmiewali się do łez na widok miltry biskupiej u stóp nagiej damy w obrazie „Triumf Miłości” i deklamowali Horacego,

Jak głęboko polichromia winiarni zanurzona jest w ówczesnej kulturze umysłowej, jak wiele w niej różnorodnych informacji o epoce — najlepiej zresztą dowiedzieć się można z publikacji Józefa E. Dutkiewicza w II tomie „Studiów renesansowych” z 1957 roku, z której zaczerpnąłem kilka podanych wyżej faktów i interpretacji.

Przeczytać ten artykuł („Malowidła z XVI w. w tzw. Winiarni”) warto i z tego względu, że obecny stan zachowania polichromii jest kiepski, miejscami wręcz fatalny, na pewno znacznie gorszy niż w latach 1938—1939, kiedy to z inicjatywy Dutkiewicza, ówczesnego konserwatora okręgowego w Lublinie, artyści malarze: Tadeusz Terlecki i Leokadia Bielska oczyścili kompozycje, zabezpieczyli nadwątlone fragmenty przy użyciu



Rys. Józef Tarłowski

spoiwa żywicznego i dopunktowali niewielkie partie powierzchni barwnych oraz linii, nie doprowadzając zresztą prac do końca.

Interesujące przy tym, że dekorowaną piwnicę odkryto dopiero w 1937 roku, znajdując w niej skład jabłek, które potęgowały wilgotność powietrza w pomieszczeniu o ścianach wodochłonnych, zbudowanych z wapienia i margli, ciągle narażonych na bezpośredni kontakt z zawartością wadliwych urządzeń asenizacyjnych. Jedyny dostęp do dawnej winiarni prowadził przez otwór w sklepieniu dolnej kondygnacji piwnic. „Malowidła znajdują się w stanie daleko posuniętego zniszczenia” — odnotował Dutkiewicz.

Pozbawiona opieki i ciągle chłonna wilgoć, podczas okupacji polichromia uległa dalszym destrukcjom, co daje podstawy do przypuszczeń, że Niemcy nie wiedzieli o jej istnieniu, albo niezbyt dokładnie przyjrzyli się napisom, wśród których znajdują się niemieckojęzyczne, tak interesujące dziś turystów z RFN. Gdyby nie fakt, że w trakcie przedwojennej konserwacji powtórnie odkryto okno i otwór drzwiowy do piwnicy, zapewniające pewien ruch powietrza w pomieszczeniu, niewiele zapewne do roboty miałoby już pracownicy warszawskich PKZ, którzy zajęli się malowidłami w 1960 roku — dopiero po 20 latach od momentu opuszczenia dawnej winiarni przez Terleckiego i Bielską.

W tym okresie w obu niższych kondygnacjach piwnic znajdował się klub studencki z wyszynkiem piwa, porteru oraz wina, które w niczym chyba nie przypominało napoju spijanego niegdyś w kamienicy znanej w Lublinie rodziny Lubomejskich herbu „Zadora”, widniejącej zresztą do dziś obok bramy budynku.

Przy końcu lat sześćdziesiątych przybytkiem zainteresowali się plastycy, konkretnie: Adam Styka, który pozyskał dla sprawy MZBM, doprowadził do kapitalnego remontu

Ireneusz J. Kamiński

głębszych kondygnacji, widząc w nich idealne miejsce na galerię sztuki współczesnej. Wtedy właśnie do piwnic dobudowano magazynek i toalety z bieżącą wodą, a ściany wszystkich pomieszczeń, poza winiarnią naturalnie, pokryto nieskazitelną bielą tynków, które nałożono na starą, surową i piękną cegłę. Ten zabieg okazał się jednak pierwszym poważnym błędem budowlanym, popełnionym w obrębie wiekowego wnętrza.

Oto nazajutrz po hucznym otwarciu galerii „Labirynt”, wiosną 1969 roku, wystawione tam obrazy „Grupy Lubelskiej” powyrzywały się niemiłosiernie od wilgoci, przyniesionej po części przez publiczność widowisk. Zakneblowane tynkiem mury utraciły zdol-

ność oddychania, aby po kilku dniach wręcz zarosnąć wspaniałymi krzewami soi.

Później, po konsultacji z wybitnym specem od konserwacji, który wydał opinię po opukaniu murów palcem, wymieniono tynki, wzmocniono wentylację i ogrzewanie elektryczne, no i wszystko wróciło do normy: ściany znów zakwitły solą i zaciekami.

Ostatecznie ludzie przywykli do tego, na tej najdłuższej pechowej kondygnacji urządzano już tylko „akcje”, wyżej prezentując malarstwo i grafikę. Gatunki te zniknęły zresztą prawie zupełnie z „Labiryntu” w momencie przejęcia galerii przez Andrzeja Mroczka, zwolennika sztuki mentalnej etc. W tym okresie polichromia winiarni trzymała się dobrze, znajdując w ekipie pro-konceptualnej przyzwolonych opiekunów, czy raczej — strażników.

Nieszczęście zaczęło się wówczas, kiedy galeria wyniosła się ze Starego Miasta do Lubelskiego Domu Kultury i piwnice okresowo pozabawione były stałego nadzoru. Prawdopodobnie wtedy właśnie wybito szyby w oknie malowanej sali, położonym poniżej poziomu gruntu, co spowodowało zalanie piwnicy przez wody deszczowe. I nikt nie zwrócił na to uwagi, choć obiekt nie był wcale bezpieczny, nadal podlegał administracji LDK! Dopiero 28 listopada 1978 roku piwnice przejął Lubelski Oddział PTTK, pragnąc urządzić w nich centrum przewodnickie z bufetem kawowym i coś tam jeszcze. Winiarnia przypominała wówczas jezioro, a ściany w pobliżu okna — lisażowata pustka. Aby odprawić wodę, wybito otwór w posadzce, który do wszystkiego wyciekło do niższej kondygnacji, wylapanie tam w kufelki. Pomijając wątpliwości, jakie nasuwa ta osobiwa technika odwadniania zabytku, zwróćmy uwagę na inne sprawy.

Po przejęciu obiektu PTTK przystąpił do remontu piwnic poza winiarnią, co chwałebnie, poczynając sobie czasami jak naiwne dziecko, kompletnie niezorientowane w procedurze prawnokonserwatorskiej takiego przedsięwzięcia, co z kolei zdumiewającej się m.in. ochroną zabytków. W rezultacie Jadwiga Janiakowa, Miejski Konserwator Zabytków, wstrzymała wszelkie

Jeśli zaś chodzi o malowidła winiarni: 30 marca 1979 roku w piwnicy zebrała się komisja, złożona z fachowców i gospodarzy obiektu, która wydawszy kilka rzeczowych zaleceń, oświadczyła ni mniej ni więcej, że „Stan zachowania polichromii nie uległ widocznym zmianom w stosunku do opisanego w ostatnim przeglądzie”. Pokrzepiająca informacja traci nieco ze swoich walorów w momencie przypomnienia, ów „ostatni przegląd” odbył się siedem lat wcześniej, w roku 1972! A mnie się wydawało, że zabytek takiej klasy winien być komisyjnie oglądany nieco częściej...

Zespół malarzy zauważył ponadto dalszy wzrost wilgotności pomieszczeń i samej polichromii, decydując w sprawie szczegółowego przeglądu malowidła i określenia niezbędnych prac zabezpieczających oddając, zgodnie z literą prawa, w ręce Miejskiego Konserwatora Zabytków, który miał ją podjąć do końca maja owego roku. Czy tak się stało?

Za „pisanie o zabytkach” dostałem od resortu kultury srebrną odznakę (bo na wręczenie złotej, przydzielanej jak popadło, spóźniłem się swego czasu), pierwszy swój tekst na ten temat wydrukowałem 18 lat temu, ale z taką leniwą zabawą, jaka towarzyszyła malowidłom winiarni po marcu 1979 roku, nie zetknąłem się chyba nigdy (pomijając kilka innych przypadków). Krótko mówiąc, korespondencja w tej sprawie między PTTK, konserwatorem miejskim i wojewódzkim (Przemysławem Maliszewskim), PKZ i Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz Zarządem Rewaloryzacji Starego Miasta w Lublinie trwała niemal trzy lata, nim pracownicy PKZ weszli do winiarni. Nie była to jednak korespondencja ożywiona i częsta, o nie. Bywało też, że dotyczyła rzeczy pozornie błażych, jak na przykład poprawienia rynn na elewacji kamienicy Rynek 8, wykonania daszków nad okienkiem winiarni i wejściem do piwnic, aby wreszcie woda przestawała powodować „opadanie tynków oraz polichromii”, jak to sformułowano w jednym z pism PTTK, datowanym 18 lutego 1981 roku! Zresztą turyści zachowywali się w tej „zabawie” przyzwolicie, robiąc to, na co było ich stać: podnosili alarm. Pomiędzy więc milczeniem ich ochotę na udekorowanie jednej z kondygnacji zabytku wymyśloną przez siebie panoramą miasta w kolorze bordo.

Gdzie tkwiły przyczyny zarysowanej sytuacji, wskaże każde polskie dziecko: w braku pieniędzy na konserwację polichromii. Ale my, dorośli, zastanówmy się nad tym, jaki sposób myślenia i działania kryje się za niemal półtorarocznym odstępem między zgłoszeniem rewaloryzacji fresków przez P. Maliszewskiego do planu finansowego z budżetu centralnego, a negatywną odpowiedzią Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków resortu kultury i sztuki, który pismem z 23 kwietnia 1981 roku grzecznie poprosił „o wykonanie prac z kredytów terenowych”, nieobecnych zresztą, jak się okazało, w wojewódzkiej kasie.

Kilka miesięcy później ministerstwo znalazło przecież pieniądze, 24 lutego 1982 roku w winiarni zebrała się kolejna komisja, która przyjęła program techniczny prac konserwatorskich przy malowidłach, przedstawiony przez Lecha Muszyńskiego z odpowiedniej pracowni PKZ, kierowanej przez Józefa Wzorka, no i panie w białych fartuchach zaczęły oczyszczać freski, znajdujące się w stanie „bardzo krytycznym” (i w 1960 r. „odnowione” nader swobodnie przez zespół K. Sommer).

A teraz roboty znów stanęły podobno z braku pieniędzy.

Powiedzmy na koniec to, co powtarzać należy zawsze: gdyby wszyscy gospodarze obiektu i ludzie z urzędu odpowiedzialni za ochronę zabytków przejmowali się polichromią w sposób proporcjonalny do jej wyjątkowej wartości kulturowej, a więc stałe, nie od trwogi do labogi, nigdy nie doszłoby do przedstawionej sytuacji. Zabytki giną u nas głównie dlatego, że troszczymy się o nie od czasu do czasu, w ramach akcji.

Historia szesnastowiecznych malowideł w Lublinie: opowieść o miłości i bezeceństwie.

Ze Zbigniewem Bonkiem rozmawia Waldemar Piasecki

LÓDZKIE telefonistki znają numer telefonu Zbigniewa Bonka. — Wie pan, całkiem nawet łatwy do zapamiętania — mówi jedna z nich. — Podać nie mogę, bo numer zastrzeżony. Pan wie, co by się działo, gdyby był w książce?

Niestety — wiem. Dlatego też uprzejma panielka z informacji dzwoni do naszego piłkarskiego asa i pyta, czy nie zechciałby zadzwonić do „Grandki” — jak nazywają tu Grand Hotel — do pokoju numer 417. Niestety Bonkowie gdzieś się wybierają. Nie dziwnego — sobota, Może jutro?

W niedziele spotykam Bonka na meczu LKS — Motor.

— Słyszałem, że ma pan szuka, ale nie bardzo mam czas. To już ostatnie chwile w domu. We wtorek jadę do Warszawy, w środę muszę być już w Wiśle na zgrupowaniu kadry. Niech się pan nie gniewa, ale chyba nie pogadamy. No, bez urazy... — wyciąga rękę.

I tu mi coś w raz pierwszy „nie pasuje”. Nie ten Boniek. Nie ten przeganiający dziennikarzy i wymyślający od „szakali”. Inny jakiś. Ubrany też zwyczajnie: skórzana kurtka koloru włosów piłkarza, błękitna koszulka trykotowa, dżinsy, płócienne buty. Na szyi złota kulka na łańcuszku.

Po meczu, kiedy okazuje się, że Widzew zdobył mistrzostwo remisując w Chorzowie, Zbyszek zaprasza przez radio całą drużynę do siebie, do domu na ulicę Falistą. Szybko znika ze stadionu.

W poniedziałek rozmawiam z red. Bogusławem Kukuciem z „Głosu Robotniczego”. Mówią o nim „Redaktor Bonka”. Zapewne z tej racji, że zna Zbyszka najdłużej i najlepiej z dziennikarzy. Konsekwentnie bronił go, kiedy większość prasy sportowej atakowała Bonka na wysięgi.

— Nie ma sprawy. Postaram się, żeby Zbyszek z panem pogadał. Ale teraz to on śpi, bo wyszliśmy z chłopakami od niego o 4 rano. Około południa powinien być w klubie, na Armii Czerwonej 80. Jeśli się z nim nie skontaktuje, niech pan się powoła na mnie. To powinno wystarczyć.

Rzeczywiście. Spotkany w kawiarni „Grandki” Boniek, po informacji o poparciu kolegi z „Głosu”, godzi się szybko. Umawiamy się na dwunastą w „Widzewie”.

Przychodzi równo z hejnałem mariażkim. W kawiarence klubowej jest już większość chłopaków z drużyny. Józek Młynarczyk zapewnia mnie akurat, że mistrzostwo w Hiszpanii zdobędzie jego „czarny koń”, czyli drużyna ZSRR.

— Kim pan jest, panie Zbyszku?

— Dziwnie jakoś pan zaczyna. Każdy dziennikarz chce zwykle się dowiedzieć czegoś nowego, czego innym się nie udało „wyciągnąć”. A my, piłkarze, nie dysponujemy takimi historiami na zamówienie. Ostatnio jestem mocno eksploatowany, choć — jak pan się przekonał — bronię się przed wywiadami. Zresztą te pytania się ostatnio powtarzają. Być może zgodnąbym parę pańskich...

— To niech pan próbuje?...

— Na pewno o kontrakt z „Juventusem”.

— Tak. Ale czy jest się czemu dziwić? Nareszcie za polskiego piłkarza zapłacono godziwe pieniądze. Jest szansa na stworzenie reguły z „precedensu Bonka”. To jest szansa całego piłkarstwa. No, ale do rzeczy. Ile? Kto? Jak?

— Zaczę od wyjaśnienia „nieścisłości” w komunikacie PAP. Między PZPN a „Juventusem” zawarto normalny kontrakt, a nie wstępny umowę. Również między „Juve” a mną zawarto drugi kontrakt określający warunki indywidualnego transferu. Jak wiadomo, Włosi zapłacili za mnie 1,8 miliona dolarów. Znaczną część tej sumy otrzyma w złotych „Widzew”.

— Pozwoli to na parę lat rozwiązać kłopoty pańskiej obecnej drużyny...

— Tak jest. Powiększony zostanie

stadion. Założone zostanie oświetlenie. Będzie można przeprowadzić kilka transferów.

— Mówi pan o kontrakcie „indywidualnym”. Między panem a „Juventusem”...

— Niestety, nie mogę ujawniać żadnych szczegółów, bo takie są zasady w piłkarstwie profesjonalnym. Tu obowiązuje pełna lojalność obu stron.

— Panie Zbyszku, magazyn paryski „France Football” donosił, że jest pan wart na piłkarskiej giełdzie około 2,8 — 3 miliony „zielonych”. Włosi dali 1,8 miliona, zostało więc około miliona różnicy. Zakładając progresję podatkową od takiej sumy rzędu nawet 70 — 75 procent, która poszłaby do włoskiego fiskusa, zostaje jeszcze ponad ćwierć miliona dolarów. Dla pana. Co pan na to?

— Nic. Spekulować można różnie...

— Nie chce pan jednak powiedzieć,

że idzie pan do Turynu w ramach akcji dobroczynnej?

— Oczywiście, że nie. Idę tam, gdzie zaproponowano najwięcej. Jest to zgodne z rachunkiem ekonomicznym, który powinien nareszcie obowiązywać także w polskiej piłce.

— Kogo „przebił” klub turyński?

— To nie jest tajemnicą. Zabiegali o mnie działacze AS Roma, FC Barcelona, Paris St. Germain. Gdyby któryś z tych klubów dał nie 1,8 miliona, a powiedzmy, 1,85 mln dolarów, poszedłbym do niego. Prawdę mówiąc,



Zbigniew Boniek w czasie akcji.

Fot. CAF

byłem jednak przekonany, że „Juve” przebił wszystkich. Im zataczał najbardziej.

— Tydzień po panu do Turynu kupiony został Michael Platini, kapitan reprezentacji Francji, starszy od pana o kilka miesięcy. Gra on podobnie do pana, pełni podobną rolę w drużynie. Nie za dużo tych liderów?

— To jest sprawa klubu, a nie moja. Platini jest znakomitym piłkarzem i cieszę się, że z nim będę grał.

— Pojedzie pan do Włoch z rodziną?

— Naturalnie. Zabieram ze sobą żonę Wiesławę i pięcioletnią Karolinę.

— Kibiców zainteresuje pewnie, co robi pańska małżonka?

— Moja małżonka jest żoną piłkarza zawodowego, co już stanowi duże wyzwanie. Skończyła, będąc nią, filologię romańską. Wychowywała dziecko. Ostatnio prowadzi wspólnie z żoną kolegi sklepik ajencyjny. Jestem żonaty sześć lat. Wiesię poznałem jednak znacznie wcześniej. Chodziliśmy razem do liceum w Bydgoszczy, skąd oboje pochodzimy.

— A pańscy rodzice? Rodzeństwo?

— Ojciec Józef, matka Jadwiga. Starszy brat Romuald. Wszyscy w Bydgoszczy. Ojciec jest kierownikiem rejonu ciepłowniczego i pilnuje, żeby było w zimie ciepło w domach. Matka zajmuje się domem. Brat od roku jest taksówkarzem. Oczywiście pozostaną w Bydgoszczy nadal... Jeśli o to chodzi...

— Wróćmy do ekonomii. Czy pańska sprzedaż jest dobrym biznesem i dla kogo?

— Po pierwsze, zarabia PZPN i to w dewizach, których tak nam brakuje. Pieniądże te może wykorzystać na wiele sposobów. Na przykład na kupno sprzętu, szkolenie zagraniczne trenerów itd. Po drugie, zarabia mój klub, o czym mówiliśmy. Po trzecie, zyskują ja i tu nie idzie w pierwszym rzędzie o forszę, ale o korzyści szkoleniowo-rozwojowe. Mam 26 lat i jeszcze mogę

się paru rzeczy w piłce lepiej nauczyć. Jest to układ korzystny dla wszystkich stron.

— A dla kibiców? Mam na myśli polskich kibiców?

— Proszę pana, kibice będą mnie mogli oglądać w meczach reprezentacji, co gwarantuje kontrakt. Nie jadę na inną planetę. Ponadto chciałbym zauważyć, że mój wyjazd nie jest problemem aż tak wielkiej rangi, bo dobrych piłkarzy jest w Polsce więcej. Po trzech latach wracam zresztą do kraju. No i jeszcze warto spojrzeć na to inaczej. Czy, na przykład, żałujemy

wróćcie. Inna będzie motywacja do pracy, do podnoszenia umiejętności. Podobnie również za nieporozumienie uważam wypuszczenie piłkarzy za granicę u schyłku ich kariery. Wtedy zawodnik powinien być w kraju, służyć radą, przykładem, autorytetem, a nie gonić za chlebem w marnych klubach. Nie byłoby tak, gdyby mógł wyjechać w pełni sił.

— Występuje pan tu w roli trybuna interesów zawodowych i życiowych piłkarzy...

— A ja myślałem, że mówimy o ekonomii.

— Jest pan człowiekiem o silnie zaznaczonych cechach przywódczych. To w przeszłości sprawiło panu wiele kłopotów. Wymienił choćby konflikty z dziennikarzami. Czy coś się tu zmieniło? Czy Boniek sprzed trzech lat i ten, z którym rozmawiam, to ta sama osoba?

— Nic się nie dzieje bez powodu. W wieku 19 lat, zaraz po szkole, zostałem rzucony na głęboką wodę i bez niczyjej pomocy musiałem sobie radzić, przebić się, walczyć. I w piłce i w życiu. Dlatego być może wcześniej się ożeniłem... Skoro już o tym mowa, powiem więcej: tyle, ile zawodzęczam żonie, nie zawodzęczam żadnemu innemu

mu człowiekowi. Rodzina zapewnia mi ciepło, bezpieczeństwo i odpoczynek. Pozwala na trzykrotnie większy wysiłek w pracy treningowej, w meczu.

Zdaję sobie sprawę, że w dążeniu do bycia kimś w piłce mogłem wydać się postacią kontrowersyjną. Pisano o mnie różnie, często nawet źle. Byłem kontrowersyjny. Enfant terrible. I ja się, wie pan, z tym zgadzam. Tylko mam jedno zastrzeżenie: miało to wszystko związek z piłką, a ściślej z moją miłością do piłki. Tak jest, broniłem kolegów, często sam się narażając na nieprzyjemności, ale ja wiedziałem, że piłka dla nich znaczy równie dużo, jak dla mnie. Dlatego podejmowałem takie ryzyko.

W sumie jednak uważam, że byłem i jestem jednostką pozytywną. To prawda, że często krzyczę na młodszych kolegów w meczu, że ich po prostu opieprzam. Wydaje mi się jednak, że traktuję wszystkich równo. Z drugiej strony, jak trzeba, bronię ich, jak tylko mogę i oni to widzą i rozumieją.

Zgadzam się z panem, mam pewne predyspozycje przywódcze, ale robię z tego dobry użytek dla wszystkich. Nikt nie może mi zarzucić prywaty.

— Ktoś kiedyś powiedział, że jest pan Kmicicem polskiej piłki nożnej. Ze sporo u pana walorów pozytywnych, ale i negatywnych. Co pan na to?

— Nie jestem Kmicicem. Nigdy nie dokonam czynów jego miary. Jest to porównanie przesadzone.

— Spotyka się również porównywanie Bonka do Georgie Besta.

— To jest również przesada. Nie piję tyle, co on. Nie mam tyłu dziewczyn. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mam dziewczyn, poza żoną, oczywiście...

— A pije pan?

— Czasami piję, ale nie w jakichś strasznych ilościach. Nie jestem alkohikiem. Uważam, że to normalne, jeśli młody człowiek od czasu do czasu wypije drinka. Cóż w tym złego? Czy pyta się o to, na przykład, artystów? Ważne, żeby nie był pijany na meczu. Poza tym jestem normalnym człowiekiem.

— A ma pan jakieś hobby, zainteresowania? Ludzie myślą, że piłkarz to tylko widzi piłkę i koniec.

— Ja mam, proszę pana, 26 lat. Gram w piłkę, bo to jest mój zawód. Mam jednak również takie same za-

interesowania, jak każdy młody chłopak. Lubie muzykę pop, film, ciekawie książki. Lubie się bawić, być w towarzystwie. Nie będę się przed panem wstydział, że chodzę na koncerty symfoniczne i opery, bo — nie chodzę. Nie będę panu umawiał, że jestem zwolennikiem literatury iberoamerykańskiej, bo nie jestem. Ja lubię po prostu żyć. Jestem normalnym młodym człowiekiem i można ze mną rozmawiać o wszystkim, o czym z każdym innym moim rówieśnikiem. Ja się wcale nie czuję mężczyźnikiem sportu. Mam czas na wszystko...

— Na studia też?
— Owszem i na studia. Jestem na czwartym roku AWF w Warszawie i mam jeszcze tylko obronić pracę magisterską. Nie sądzę, abym to zrobił wcześniej, niż w końcu tego roku. Egzaminy zdawałem na studiach normalnie, bez protekcji, pomocy itp. Studiowałem, oczywiście, zocznie. Powiem panu nawet, że studia dużo mi dają...

— Co, na przykład?
— Szersze spojrzenie na wiele spraw, proszę pana. Wiedzę psychologiczną, socjologiczną. Pewien dystans do tego co robisz.

— Jak rozumieć ten dystans?
— Nad wejściem do California University umieszczono dewizę: „O wszystkim — coś i o czymś — coś konkretnego”. To mam właśnie na myśli. A o tej dewizie powiedział nam na zajęciach wykładowca. Mówił o śródle, żeby nie epatować, nie stwarzać niepotrzebnych efektów. Baniak nie był w Kalifornii, proszę pana. I pewnie nie będzie.

— Wielokrotnie podkreślał pan, że jest zawodowym piłkarzem. Przecież w polskiej rzeczywistości nie ma takiego zawodu!

— Tym gorzej dla tej rzeczywistości. Po co te mity? Po co wprowadzać tzw. stypendia, kiedy każdy wie, co jest grane. W Polsce jest piłkarstwo zawodowe, niezależnie od tego, jak się nazwie tę zabawę. Ja w Widzewie musiałem być zawsze do dyspozycji. Za zgłoszenia na treningi płaciłem karę itd. Dostawałem premie, nagrody. Przecież to jest normalna praca, normalny zawód.

— To co pan by proponował?
— Skończyć z fikcją.

— Pojedźcie pan na swój drugi w życiu Mundial...
— Tak. Bardzo się z tego cieszę i postaram się nie zawieść kibiców piłki w Polsce. Oczywiście jest to dla mnie również szansą indywidualną, pokazania się na forum światowym. Będę się starał ją wykorzystać.

— Bookmacherzy londyńscy przyjmują na Polskę zakłady w stosunku 1:33. Postawiliby pan fanta?
— Zawsze.

— A co pan myśli o takim szacunku?
— Ja myślę, że jest za niski. Ale znowu nie ma się czemu dziwić, bo iem na Zachodzie nikt prawie nie wie, co się u nas dzieje w lidze, jaki jest poziom itd. Uważam, że ten stosunek (1:33) będzie mały, czyli rósł na naszą korzyść z każdym dniem, a już na pewno po naszych pierwszych meczach eliminacyjnych.

— Przemawia przez pana optymista.
— Bo nim jestem. Z grupy wyjdziemy na sto procent. A i po wyjściu powalczymy.

— Czy ma pan swojego faworyta „España '82”?
— Nie mam. To będzie Mundial „czarnych koni”. Zobacz pan.

— Czy ma pan swój ideał sportowca?
— Oczywiście. Nie jest to jednak żaden piłkarz. Za najlepszego, prawdziwego sportowca uważam pana Waldemara Marszałka. Jest on całą instytucją sportową: zawodnikiem, działaczem, konstruktorem, mechanikiem. Sam na siebie pracuje i to jest wspaniale. Uważam go za wzór i ideał. Uważam również, że wyrządza mu się krzywdę, klasyfikując razem z innymi sportowcami, bo skala jest nieporównywalna. Gdybym mógł decydować o trzymalby on oczywiście tytuł najlepszego sportowca PRL.

— Może to zbyt odległa perspektywa, ale czy myśli pan już, co będzie robił po zakończeniu kariery?
— Nie myślę. Nie lubię takiego planowania na wyrost. Będzie, co będzie. Pożyjemy, zobaczymy.

— Za kilka dni kibice zasiądą przed telewizorami, by podziwiać was w akcji. Czego chciałby pan im życzyć?
— Przede wszystkim, żeby się nie zawiedli na naszej grze. No i żeby byli dla nas odrobinę bardziej uprzejmi. Też przecież jesteśmy ludźmi.

— Dziękuję za rozmowę.

Żeby Ulster był celtycki

Jerzy Wieluński

IRLANDII nie zdołali podbić ani Rzymianie, ani Wikingowie, jakkolwiek najazdy tych ostatnich doprowadziły do utworzenia germańskich kolonii na wschodnich wybrzeżach wyspy. Zakłóciło to rozwój kultury celtyckiej, by na przestrzeni kolejnych wieków spowodować jej całkowite niemal zniszczenie.

W 1155 r. papież Adrian II ustanowił króla Anglii, Henryka II, monarchą Irlandii... Opadał miecz, wznoszono krzyż i budowano molocho. Brytyjskiego Imperium. W Europie jego ostatnim skrawkiem jest dziś Północna Irlandia, czyli Ulster, albo — po irlandzku — Ulaidh.

Powiedzmy wprost, że ogrom cierpień zadanych narodowi irlandzkiemu przez germańskich zdobywców jest nieporównywalny nawet z tym, co Polacy wycierpieli od Zakona Krzyżackiego i Prus.

W 1171 r. wschodnią część Szmaragdowej Wyspy wcielona została do Korony Angielskiej. Ale w następnych stuleciach wysiłki zmierzające do podbicia całej wyspy nie powiodły się. Dopiero w 1601 r. w bitwie pod Kinsale Anglia łamie opór ostatnich celtyckich earłów — katolików — Hugh'a O'Neill'a i Hugh'a O'Donnella. Protestanty władcy Anglii grabią ziemię katolickiej szlachty irlandzkiej i przekazują je protestanckim osadnikom sprowadzonym m.in. ze Szkocji.

Rok 1641 — Cromwell dokonuje masakry irlandzkiej ludności wyspy. Pięćdziesiąt lat później w bitwie pod Boyne protestanci następują tronu, Wilhelm II Orański, pokonuje wojska katolickiego pretendenta do tronu Anglii, Jamesa II i jego „zbuntowanych” papistów. Początek masowych grabieży i mordów dokonywanych na katolickiej ludności Irlandii... Wreszcie w 1700 r. protestancki parlament w Dublinie zatwierdza zbiór ustaw, na których mocy irlandzcy katolicy stają się faktycznie niewolnikami.

Ale już w 1791 r. Wolfe Tone — gwoździł ścisłości: protestant — organizuje podziemny ruch na rzecz zjednoczenia wyspy, równych praw dla katolików i protestantów, wyzwolenia spod angielskiej okupacji. Wolfe Tone ginie z rąk Anglików.

Koronnym aktem cynizmu i przemocy staje się tzw. Akt Unii — obalenie parlamentu w Dublinie i ustanowienie Irlandii „integralną” częścią ziem Królewskiej Mości... Ale „zjednoczona” z Anglią Irlandia walczy o swój byt. W 1807 r. Anglicy wieszają w Manchesterze trzech patriotów irlandzkich, członków tzw. Bractwa Republikańskiego, organizacji socjalistycznej. Jej bojownicy — Fenianie — stawiają sobie za cel wyzwolenie wyspy. Działająca Irish Republican Army (IRA) uważa się za spadkobierczynią irlandzkiego Bractwa Republikańskiego.

Tymczasem plan skolonizowania Ulsteru przy pomocy protestanckich przesiedleńców wydaje owoce: „Ulster will fight and Ulster will be right” — brzmią słowa Randolpha Churchilla, powtarzane do dzisiaj przez zagorzałych „oranżystów”. Protestanty nie chcą zjednoczenia z Irlandią, gdyż są faktycznymi panami Ulsteru...

Ale walka o wolność całej Irlandii nie ustaje. Oto słowa jednego z irlandzkich „poetów” wypowiedziane nad grobem irlandzkiego patrioty uazwiskiem Donobhain Rosa: „Myślę, że spacyfikowali Irlandię. Po trzykroć głupcy! Zostawili nam groby pomordowanych Fenian, a dopóki groby te pozostają w Irlandii, dopóty Irlandia nie zagna spokoju!”

W Dublinie w poniedziałek Wielkanocny 1916 roku poeta i rewolucjonista, Padraig Mac Piarais, proklamuje „Niepodległą Republikę Irlandzką”. Anglicy krwawo tłumią powstanie. Piarais i 15 innych przywódców zostaje rozstrzelanych, ponad cztery tysiące bojowników — wtrąconych do więzień.

Kiedy wreszcie rok 1921 przynosi Irlandii wolność, Ulster „z woli wielkości” pozostaje przy Anglii. Anglia może w dalszym ciągu „złatwiać sprawy wewnętrzne swojej prowincji”...

A Ulster staje się piekłem. Przyprawiający zatem, co napisał Howard Fast

w jednej ze swoich powieści („Spartacus”): „Zanim chrześcijańskie pojęcie piekła pojawiło się w książkach i w kazaniach, [...] istniało piekło na ziemi, a ludzie je widzieli, spoglądali na nie i znali je bardzo dobrze. Bowiem taka już jest ludzka natura, że opisać potrafi także jedynie piekła, które wcześniej sama wytworzy”.

Kolejne pokolenia irlandzkich katolików i protestantów dziedziczą nienawiść. Przybywa bohaterów i męczenników, przybywa

Gearóid Denbhir

POROZUMIENIE

Powiew nowin kojących nad obcym drukiem — czy wszystkie z serca Wieszeza?

Wyleka struga krwi spod pergaminu — zglądzone istnienie, spalony duch.

Nie spostrzegli w imię Wiary hańbiącego wyszysku mężczyźni, kobiety, dzieci...

Nigdy nie zablęknili miejsca urazy — nienawidzi każdy każdego.

Jeszcze nie odczuli rozgoryczeni brzmienia Historii na świadomości narodu...

I wypływa struga krwi spod dokumentu kłamliwej wymowy kłęski prawdziwej.

Z irlandzkiego przełożył Jerzy Wieluński

obozów koncentracyjnych dla więzionych i internowanych. „Moja dusza nie jest na sprzedaż” — pisze Bernadette Devlin w swojej książce. „Spokój w Ulsterze to równe prawa dla katolików i protestantów”. „Stuny Londonderry i Belfastu to hańba XX wieku”. Istotnie, warunki wegetacji w katolickich dzielnicach miast Ulsteru przypominają nędzę Murzynów w południowych stanach USA w czasie niewolnictwa albo getta dla Żydów podczas II wojny światowej.

„Znać dossier Chile, a nie znać dossier Irlandii to znaczy wywracać świat do góry nogami” — pisze jeden z francuskich publicystów. Sean Mac Stiofain, członek sztabu IRA, mówi, że dla jego organizacji „nie ma innej drogi oprócz walki z bronią w rękę”.

Rząd Irlandii ze względów politycznych oficjalnie nie popiera żadnej ze stron walczących w Ulsterze. Ale czynią to jawnie Bretończycy, których los był i jest równie tragiczny jak los katolików w Ulsterze. Garsire de Reta w artykule na łamach bretońskiego kwartalnika filozoficzno-politycznego AN TRIBANN twierdzi, że „zjednoczenie i wyzwolenie całej Irlandii nastąpi dopiero w wyniku prawdziwej rewolucji w Ulsterze, rewolucji, która ogarnie całą wyspę, zmiecie burżuazyjne rządy w Dublinie i ustanowi Belfast stolicą Nowej Irlandii”. Prasa bretońska nie ukrywa prawdy o irlandzkiej tragedii.

Przytoczmy jeszcze słowa historyka Augustyna Thierry: „Ślubowanie wojny na śmierć i życie nie zostało zapomniane. [...] W naszych czasach krew płynie w Irlandii na rachunek zadawanych wami i czasów podboju. A czasu przyszłego, kiedy to wasz mózgi będzie zakończył, nie daje się przewidzieć. Niechże do Anglii, jej rządu, jej zwyczajów oraz języka w dalszym ciągu porostają wrodzonymi cechami irlandzkości. Znenawidzili to, co tamci kochali, pokochał to, czego tamci nienawidzili”.

W powyższym kontekście łatwo zrozumieć, dlaczego tylko mała część Irlandczyków zna swój język. Dzieci irlandzkie dopiero od 1931 roku mają prawo uczyć się ojczystej mowy. Ale jak korzystać z tego prawa, skoro doświ nie znają irlandzkiego? Przywódcy IRA w więzieniach uczyli się historii Irlandii i irlandzkiego.

Pisarz irlandzki Conchubair Ruairc uważa, że „jeśli się nie wkrześci ir-

landzkiego, Irlandczycy przestaną istnieć jako naród”. Rany zadawane z premedytacją na przestrzeni tysiąca lat zablężają się trudno, lub sprowadzają śmierć.

Irlandczyków poza granicami kraju mieszka dziś blisko cztery razy tyle co w Irlandii. Irlandczyków nie znających irlandzkiego.

Wiele podręczników do nauki języka irlandzkiego cytuje dwie jasne, znamiennie wypowiedzi — Jamesa Connolly'ego: „Narody, które ulegają najcięższemu i począłają własny język przyjmując język ciemniccy, nie czynią tak ani z miłości, ani z braterstwa, ale z podstępem złowolnego upadłego ducha, ducha który nie może istnieć razem z ramię z ideałami rewolucji”; oraz Padraig'a Mac Piarais: „Narodowość irlandzka jest kontynuacją starożytną tradycję duchową i naród irlandzki nie umrze tak długo, jak długo tradycja ta przeżyje w sercu choćby jednego wiernego jej członka. Gdyby jednak ostatni nosiciel tradycji gaelickiej, ostatni niepokonany Gael umarł, narodowość irlandzka przestałaby istnieć. Jakkolwiek wolne państwo, które by później wzniesiono w Irlandii, niezależnie od tego, jak by się ono nazywało, z pewnością nie byłoby już historycznym narodem irlandzkim”.

Ze względów oczywistych język irlandzki zachował bardzo archaiczną pisownię, która poważnie odbiega od dzisiejszej wymowy, co nie ułatwia nauki tego języka. Dla przykładu wyraz GEIMHREADH znaczy „zima”, a wymawia się „giri”. BAILE ATHA CLIATH oznacza „Dublin”, a czyta się „bliakli”.

Irlandzki, jako jeden z języków celtyckich, należy oczywiście do rodziny indoeuropejskiej — przetrwała w nim wiele struktur gramatycznych oraz wyrazów zachowanych również w polskim. Oto kilka par świadczących o pokrewieństwie: DA/dwa, TRI/trzy, CEITRE/cztery, MATHAIR/matka, BRAITHRIULL/braterski, SUIDHIM/siadam, ITHIM/jadam, SALANN/sól, SUAN/sen, MO/mój, GE/geś, MIOH/miód, SNEACHTA/śnieg, OILAR/orzeł, NOCHT/noc itd.

Celtowie nie stworzyli własnego pisma; druidzi-nauczyciele całą wiedzę przekazali uczniom ustnie. Zazwyczaj odbywało się to w cieniu konarów rozłożystych dębów i stąd nazwa wyspy nawiązująca do soczystej zieleni lasów, stąd też nazwa „druid” związana etymologicznie z wyrazem oznaczającym „dąb”, „drzewo”: DARACH, DARAG, DAIR.

Najwcześniejsze pisane zabytki języka irlandzkiego pochodzą z napisów nagrobkowych na Wyspie Man. Są to napisy w V w., wykonane tzw. piśmem ograniczonym opartym najprawdopodobniej o alfabet fenicki, podobny do pisma runicznego Germanów. Ze średniowiecznego pisma ręcznego wywodzi się tzw. alfabet gaelicki, w którym do dzisiaj drukowane są w Irlandii książki. Nazwy Ulter tego alfabetu to staroirländzkie nazwy drzew, np. B — BEITH (brzoza), D — DAIR (dąb).

Irlandzki posiada formę literacką opartą o dialekt munsterki. W dialekcie tym tworzył Peter O'Leary (1829—1920), zaliczany do czołowych pisarzy irlandzkich. Niekiedy pisarze tworzą na emigracji. Próbką współczesnej poezji irlandzkiej może być wiersz napisany przez poetę nazwiskiem Gearóid Denbhir w czasie jego pobytu w Paryżu. Wiersz ten nie wymaga komentarza.

W bezkrytycznym „kulcie” Rzymu i łaciny, Napoleona i francuszczyzny, wszystkiego, co nosi nalepkę MADE IN ENGLAND, zapominamy o innym świecie, celtyckim, godnym również szacunku jak i uwagi. Zapominamy, że Celtowie żyli w społeczeństwie nie-niewolniczym (choćby klasowym). Zapominamy, że miernikiem wartości człowieka była dla nich jego mądrość, światłość umysłu, zasób wiedzy, predyspozycje intelektualne, a nie siła pięści. Najznakomitsi w tym sensie ludzie stali na czele społeczności celtyckich. System społeczny Celtów był wolny od wszelkiego rodzaju dogmatów i obowiązkowych wierzeń narzucających masom. Miły o krwawych obrzędach ofiarnych, dokonywanych przez druidów-kapłanów na ludziach, wytworzyli ci, którzy sami zniszczyli celtyckie języki i celtycką kulturę, tzn. najpierw Rzymianie, a potem — Germanie.

PIERWSZY KROK W CHMURACH

Marek Hlasko

Jerzemu Cwiertni

W SOBOTĘ centrum miasta wygląda tak samo jak i w każdy inny dzień tygodnia. Jest tylko więcej pijanych; w knajpach i barach, autobusach i bramach — wszędzie unosi się zapach przetrwanego alkoholu. W sobotę miasto traci swoją pracowitą twarz — w sobotę miasto ma pijaną mordę. Natomiast w centrum miasta, w sobotę, nie ma ludzi, którzy lubią obserwować życie: stać w bramach, włóczyć się po ulicach, siedzieć na ławce w parku godzinami, i to tylko po to, aby za lat dwadzieścia móc sobie przypomnieć, że tego to a tego dnia widziało się mniej lub bardziej dziwny traf życiowy. Tak jak wysłańcy chadzający jeszcze podczas okupacji w czerwonych czapkach, tak jak handlujący suchym piaskiem, jak podwórzowi śpiewacy o przepitych tenorach — w centrum miasta wymarli obecnie obiektywni obserwatorzy życia.

Obserwatorów można spotkać jedynie na przedmieściu. Życie przedmieścia zawsze było i jest bardziej zgęszczone; na przedmieściu w każdą sobotę, kiedy jest pogoda, ludzie wynoszą krzesła przed domy; odwracają je tyłem i usiadłszy okrakiem, obserwują życie. Upór obserwatorów nosi czasem znamiona genialnego obłądu; czasem siedzą w ten sposób przez całe życie i nie widzą nic prócz twarzy obserwatora z przeciwną. Potem umierają z głębokim żalem do świata, z przekonaniem o jego szarzyźnie i nudzie, gdyż rzadko kiedy przyjdzie im na myśl, że można podnieść się i pójść na sąsiednią ulicę. Obserwatorzy życia na starość stają się niespokojni. Miotają się, patrzą na zegarki; jest to jeden z śmiesznych nawyków starych ludzi — pragną ratować czas. W pewnym okresie chciwość życia i wrażeń staje się u nich silniejsza niż u dwudziestolatków. Dużo gadają, dużo myślą; uczucia ich są dzikie i tępe zarazem. Potem gasną szybko i spokojnie. Umierając wmawiają wszystkim, że żyli szeroko. Im-

tenci chwalać się sukcesami u kobiet, tchórze — bohaterstwem, kretyni — mądrością życia.

Pan Gienek — z zawodu malarz pokojowy — od czterdziestu lat mieszkał na Marymoncie i od tyluż lat obserwował życie swej dzielnicy. Owej soboty pan Gienek także siedział przed swoim domem w ogródku i bezmyślnie patrzył w ulicę. Od czasu do czasu splotał i obliżywał spieczoną wargę; wygasający dzień był upalny i dręczący. Pan Gienek był rozdrażniony: nie zdarzyło się nic ciekawego w dniu dzisiejszym, nikt nie złamał ręki, nikt nikogo nie pobił i pana Gienka ssalo uczucie pustki i nudy — kopnął psa, który nawinął się pod nogę, i ponuro ziewając patrzył w ulicę. Była pusta, przejeżdżające z rzadka samochody podnosiły tumany rozparzonego piasku. Kiedy stracił już całą nadzieję na ujście kawałka życia, uczył, że ktoś trąca go w ramię. Podniósł senne oczy i zobaczył swego sąsiada, Maliszewskiego.

— Chodź pan — powiedział Maliszewski.

— Gdzie?

— Niedaleko.

— Po co?

— Chcesz pan coś zobaczyć? — powiedział Maliszewski.

Był to niski człowiek o dobroduszej twarzy i chytrych oczkach. Ruchy jego — mimo pozornej ocleżalności — były szybkie i zwinne jak ruchy młodego kota.

— Co jest? — zapytał pan Gienek; ziewnął, był zmęczony upałem.

— Chłopak — powiedział Maliszewski.

— I co z tego?

— Satyra — powiedział Maliszewski. — On jest z dziewczyną. Już pan rozumiesz?

— Jasne — rzekł pan Gienek. Podniósł się; w serce jego wstąpiła nadzieja. Zapytał z ożywieniem: — Ładna?

— I ładna, i młoda — rzekł Maliszewski. — Mówię panu, dobra robota tam odchodzi. — Nagle zniecierpliwził się: — Idziesz pan czy nie? — zapytał.

— Nic z tego nie będzie — powiedział pan Gienek. — Zanim my tam dojdziemy, to oni skończą. Mówię panu, że nic z tego nie będzie.

— Oni nie mają po pięćdziesiątce tak jak pan — powiedział Maliszewski. — Mogą się bardzo długo bawić w ten sposób. Ja jak byłem młody, to też mogłem się w ten sposób bawić godzinami. Naprawdę tak było. Wstąpimy po mojego szwagra i podskoczmy tam, chce pan? On już wrócił z roboty i chętnie pójdzie z nami. O, patrz pan, już idzie!

Rzeczywiście, ulicą szedł młody, tegi mężczyzna. Rękawy koszuli miał podwinęte, w zębach trzymał trawkę. Oczy jego były senne i drwiące, powieki — ciężkie.

— Heniek — zawołał Maliszewski — pozwól tu na chwilę!

Heniek zbliżył się i oparł o płot. Czoło jego było mokre od potu.

— Cześć — powiedział. — Co u pana, panie Gienu?

— Heniek — powiedział Maliszewski — chodź z nami.

— Gorąco — powiedział Heniek; obliżał wargi i westchnął: — Nie ma czym oddychać. W taki upał nawet świętemu by nie stanął. Gdzie chcecie skoczyć!

— Byłem na działce — rzekł Maliszewski. — Widziałem chłopaka z dziewczyną.

— Szmata? — zapytał Heniek. Wypluł trawkę, potem zerwał nową i przygryzł ją mocnymi zębami.

— Skąd — powiedział Maliszewski. — Mówię ci: młoda i ładna.

— Możemy podskoczyć — powiedział Heniek. — Ty mnie znasz; ja lubię popatrzeć na życie. Jeśli dziewczyna będzie brzydka — zwrócił się do Maliszewskiego — to ty coś dzisiaj postawisz.

Ruszyli i szli szybko wśród działkowych ogródków. Ludzie przychodzili tu po pracy, aby doglądać swych kartofli, pomidorów i marchwi. Teraz jednak było pusto: parny, drętwy dzień zmęczył wszystkich — ludzie siedzieli w domu.

— Duszno — powiedział Heniek. — Ja nie mogę robić w taki dzień. Głowa mnie boli cały czas.

— Tamtym też chyba gorąco — powiedział pan Gienek.

— Myśle — rzekł Maliszewski. — My ich ochłodzimy. Tak, Heniek?

— W zeszłym roku — powiedział Heniek — tutaj też przychodził taki jeden gość z dziewczyną. Całe lato tu przychodzili.

— I co?

— Nic. Pewnie nie mieli mieszkania.

— Pobrali się? — zapytał z wysiłkiem Gienek; marzył o szklance zimnego, gorzkiego piwa.

— Nie wiem. Może i tak, że się pobrali. Też była ładna dziewczyna.

— Blondynka? — zapytał znów Gienek; nie a nie go to nie obchodziło. W dalszym ciągu czuł dręczącą pustkę i niesmak.

— Brunetka — rzekł Heniek. — Pamiętam ją jak dziś. Ten facet był blondyn. Nie mogłem zro-

sto powracają w twórczości Buczyńskiego. Po kolejnym pobycie za chlebem na obczyźnie ojciec poety kupił upragnioną ziemię, w Jankowicach pod Grudziądem. Z powodu braku ubrania, a także dlatego, że rodzice nie przywiązywali dużej wagi do nauki, Buczyński długo nie chodził do szkoły. Dla rodziców ziemia była najwyższą wartością. To przekonanie głęboko utkwilo w świadomości poety. Jak większość twórców chłopskich, również i on zakończył edukację na czterech klasach szkoły powszechnej. Wtedy bardzo chciał zostać nauczycielem, ale nie starczyło pieniędzy na dalszą naukę. Po kilku latach jeszcze raz usiłował się uczyć. Zaczął nawet chodzić do średniej szkoły handlowej w Grudziądzu. Jednak tylko zaczął. Mówił mi, że ojciec miał płacić za jego utrzymanie osiemdziesiąt złotych miesięcznie. Oplata szkolna, pobierana w tym samym czasie, wynosiła czterdzieści pięć złotych. Czyli razem miesięcznie sto dwadzieścia złotych. A krowa kosztowała od osiemdziesięciu do stu dwadzieści złotych. Zeby syn mógł chodzić do szkoły, ojciec musiałby sprzedać jedenaście krów rocznie. Gdyby je oczywiście miał

Wykształcenia nie zdobył Buczyński w szkole. Wzórów musiał szukać sam. Znalazł je w lekturze gazet, obserwacji. Mając lat 14, zaczynał wysyłać swoje utwory do gazet. I wtedy popada, jak większość postępowych chłopów, w konflikt z własnym środowiskiem i z rodziną. Rodzicom i wsi, wychowującym dzieci zgodnie z przykazaniem: *pracuj, żyj uczciwie, kochaj Boga i Ojczyznę [...], nie wtrącaj się do niczego, niech szariat idzie własną drogą, trudno było zwolnić młodego człowieka, który na świat już patrzył inaczej, a w walce chciał znaleźć wygraną.*

Naraził się również sanacyjnej polacji, która często przeprowadzała rewizje w domu jego rodziców, szukając ślotek, dowodów działalności wsty-

Droga poety do ziemi

Elżbieta Nowak

BYŁO południe, dzwoniły dzwony, gdy pieśzo szli z nim ludzie w ostatnią, czterokilometrową drogę. Odszedł świadomie. I zabronił po sobie płakać. Wiadomość o jego śmierci nie była dla mnie obojętna. Stanisława Buczyńskiego poznałam zimą 1973 roku, gdy pojechałam do Kotorowa, aby zbierać materiał do pracy magisterskiej. Wtedy nie znalazłam dokładnie jego życia ani twórczości. Wiedziałam tylko, że jest typem poety-działacza, dla którego od wyrażania siebie ważniejsze jest „działanie pisarstwem”. I to dla mnie osobiście nie było ciekawe. Chciałam pisać o dobrej, nie potrzebującej pozaliterackich uzasadnień poezji, a nie tylko o pewnym zjawisku socjologicznym w postaci chłopskiego pisarstwa.

W Kotorowie przywitał mnie niezwykle serdecznie wysoki, szpakowaty mężczyzna, który od czasu do czasu zanosił się gwałtownie kaszlem. I mówił. Dużo, ze swadą, z energią. Formułował swoją artystyczną wiarę, przypomniał fakty z życia, pokazywał wycinki prasowe, stare i nowe rękopisy, wiersze syna Macieja. Tam po raz pierwszy z rękopisów przeczytałam utwory, w których srebrna i złota ziemia, opisana

kolorami z malarstwa sakralnego, staje się świętością, w jakiej przejawia się Stwórca. Weszłam w świat poezji, gdzie chałupy w białych ornatach stoją, kosisko jest mieczem złocistym, a sierp — monstrancją, dom — świętością, miejscem, któremu zaprzysiężono wierność. Czytałam wiersze i byłam zdziwiona ich pięknem i tym, że dotąd te „inne”, jak mówił, wiersze pisał tylko dla siebie i teraz je z zażenowaniem do czytania podawał. Przekonał mnie poeta i jego twórczość.

Pomóżcie mi, pomóżcie,
wróćcie do ziemi, do chaty.
Chciałbym raz jeszcze
rzucić ziarno pszeniczne i żytnie.

Muszę posłuchać nocą jak
serca biją kwiatom.

Muszę zapisać dzień ten,
kiedy akacja kwitnie.

„Krzyk” (z rękopisu)

Lektura wierszy, pisanych w różnych okresach życia poety, budzi refleksję, że jest to twórca chłopaki, przekraczający powoli normy „chłopskości”, dążący do narodu, kultury literackiej i równocześnie do ziemi. Pozornie — paradoks. Jego zaprzeczenie znaleźć można obserwując życie, twórczość i warunki, jakie ją zrodziły. W ekonomicznie i politycznie skomplikowanych warunkach

dwudziestolecia międzywojennego, w czasach rozbicia i dezorganizacji ruchu ludowego, agitacji — z jednej strony — ugrupowań prawicowych, z drugiej zaś — ideologii robotniczej, należy szukać początków działalności generacji chłopów, do której należy również Buczyński.

Z lektury pamiętników chłopów tego pokolenia wynika, że większość poetów pochodzenia wiejskiego w swojej twórczości zajęła postawę bierną, unikając motywów społecznych i politycznych. Twórczość Buczyńskiego jest zdecydowanie inna. Tkwi w niej bunt, wypływający ze świadomości krzywdy społecznej chłopca i robotnika. Pierwszym źródłem twórczości są czasy dzieciństwa i młodości.

Późniejszy zbuntowany poeta-chłop, dla którego pisanie jest formą walki, urodził się w lipcu 1912 roku we wsi Ulatowo-Borzuchy pod Przasnyszem w biednej, wyrobniczej rodzinie. Ojciec podpisywał się krzyżkami, matka również była analfabeta, córką pańszczyźnianego chłopca. Rodzice, żeby zarobić na życie, chodzili pracować do bogatych gospodarzy. Ojciec dwukrotnie wyjeżdżał do Ameryki za chlebem i dwukrotnie, w wyniku inflacji, tracił większość zarobionych pieniędzy. W tym czasie matka musiała sama pracować na utrzymanie dzieci. W domu była bieda.

Obrazy matki, ciężko pracującej na obczyźnie, głodnego dzieciństwa, czę-

zumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna chodzi z takim lachudrą.

— Nie wiem — mruknął pan Gierek. Splunął gestą ślinę. Był zły na Heńka, przypomniał mu że on sam ma brzydką i dość głupią żonę. Powiedział: — Pewnie jakaś szmata.

— Może? — Teraz cicho — rzekł Maliszewski. Poszedł przodem, oni szli za nim wolno, starając się nie robić balasu. Było już szarawo; słońce uciekło, na trawie kładły się błękitnawe cienie. Maliszewski w pewnym momencie odwrócił głowę i zawołał cicho: — Chodźcie!

Podeszli na palcach kilka kroków i zobaczyli chłopaka z dziewczyną. Leżeli obok siebie. Dziewczyna oparła swoją głowę o ramię chłopaka i przytuliła się do niego całym ciałem. Leżeli zmęczeni miłością i upalem, byli młodzi i ładni oboje — jedno ciemne, drugie jasne. Sukienka dziewczyny była uniesiona; miała długie, mocne i brązowe nogi.

— Ładna — rzekł Heńka. — Bardzo ładna.

— Mówiłem — powiedział szeptem Maliszewski. Stali w milczeniu; pan Gierek znów obliżał wargi i pomyślał o swojej żonie z dreszczem nagłego wstrętu. Maliszewski uśmiechnął się głupkowato. Heńka jeszcze bardziej opuścił ciężkie powieki i przestępował z nogi na nogę. Nagle zapytał z rozdrażnieniem:

— Robimy coś?

— Ty — powiedział Maliszewski. — Zrób im coś takiego, żeby się nie pozbierali ze śmiechu do końca życia. Ty to możesz zrobić, Heńka.

— Heńka — powiedział pan Gierek — najlepiej ich nastraszyć. — Przytknął palcami i powtórzył: — Ona jest strasznie ładna. Już dawno nie widziałem takiej laiki. Jeszcze dziecko. Nie powinni tego robić.

Nagle zniecierpliwził się i rzekł do Heńka: — Zrób im pan coś, bo jak nie, to ja im bombę zasunę.

— Czekał pan — powiedział Heńka. — To już lepiej ja.

Patrzył chwilę na brązowe uda dziewczyny i na twarzy jego malowała się męka. Potem wyszedł zza drzewa i stanął przed młodymi. Zmrużywszy oczy, rzekł:

— W tatę i mamę się bawicie? Smacznego!

Maliszewski i pan Gierek wybuchnęli śmiechem. Chłopak zerwał się na nogi i wyjąkał:

— Czego pan chce?

— Niczego — powiedział bardzo wolno Heńka. Stał przed chłopakiem i kolywał się na nogach.

Gryzł w dalszym ciągu trawkę i spluwał zielonkawą śliną. Potem powiedział: — Uważaj, jak jedziesz, kochany. To ci przyszedłem powiedzieć. Zawsze uważaj, jak jedziesz.

Maliszewski wyszedł zza drzewa i stanął obok Heńka.

— Ładna dziewczyna — powiedział patrząc na nią burymi oczkami. — Ja bym sam chciał taką zapoznać. Może się zapoznamy, proszę panią.

— Idiota — powiedziała dziewczyna. Stanęła za chłopakiem; była czerwona i zdenerwowana; pan Gierek patrzył, jak drżą jej szczupłe plecy, i raz jeszcze pomyślał ze wstrętem o swojej brzydkiej, grubej i nieforemnej żonie.

— Ty, ty, szmata — powiedział Maliszewski; oczy nabiegły mu krwią ze wściekłości. Rzekł szybko, jakby się dusząc. — Ty jesteś zwyczajna

kurwa, rozumiesz? Ja mam córkę starszą od ciebie, ty kurewko.

— Niech pan stąd odejdzie — powiedział chłopak błagalnie patrząc im w oczy. — Ja pana proszę, niech pan stąd odejdzie. Myśmy panu niczego nie zrobili. Ja pana strasznie proszę.

— Kogo ty prosisz, Janek? — powiedziała dziewczyna. — Tego starego durnia?

— Zamknij swojej pani mordę — powiedział Heńka — bo inaczej ja jej zamknę. I sam też nie pajacuj. Mówię ci, zamknij jej mordę.

— Sam masz mordę — powiedziała dziewczyna. Patrzyła na niego z pogardą. Była nieprzytomna ze zdenerwowania, lecz usiłowała się rozeźmiać szyderczo. — Bydlak — powiedziała i wybuchnęła płaczem.

— Ej, ty — powiedział Heńka i szarpnął ją za rękę. — Komu ty wymyślasz? Przychodzisz się tutaj puszczać i jeszcze coś mówisz?

Chłopak szarpnął się; uderzył Heńka w twarz — raz i drugi. Stało się to tak szybko, że Heńka zdążył tylko zamrużyć oczami. Lecz w następnej chwili złapał chłopaka za włosy i trzasnął twarzą w swoje kolano. Potem uderzył go pięścią w usta i rzucił na ziemię.

— Dosyć, proszę klienta? — zapytał. — Jak nie dosyć, to ja mogę klienta obsłużyć dodatkowo. Taryfa ulgowa; tu jest bardzo miły cmentarz. — I wybuchnął stekiem najplugawszych obelg. Zamknął oczy, lecz ciągle widział brązowe, długie nogi dziewczyny.

— Chodź, Janek — powiedziała dziewczyna. Otarła chłopakowi twarz z krwi. Rzekła do nich: — Policzymy się jeszcze. — I kiedy odeszli już parę kroków, krzyknęła histerycznie: — Jesteście stare szmaty, nie mężczyźni!

Wrócili do domu. Znów szli wśród ogródków działkowych.

— Parno — powiedział Heńka. — Prawdopodobnie, że będzie padać. — Westchnął i rzekł: — To była ładna dziewczyna. Dlaczego jej powiedziałeś, że jest kurwa? Przecież jej nie znasz. Skąd mogłeś wiedzieć?

— Ja przecież nie powiedziałem, że ona jest taka — rzekł Maliszewski. — To ty powiedziałeś.

— Ja?

— Ty.

— Nie wygłupiaj się. Ja jej wcale nie znałem.

— Ja ją znałem — powiedział Maliszewski. — Ja już ich tutaj widziałem nie pierwszy raz. Oni się bardzo kochają.

— Co będzie dalej? — zapytał pan Gierek.

— Nie wiem, co będzie dalej. Ale wiem, że oni z sobą chodzą. I wiem, że oni dzisiaj pierwszy raz z sobą.

— Skąd? — zapytał leniwie pan Gierek.

— Słyszałem, jak ją prosił. I on się bał, i ona się bała. Słyszałem jak się namawiali. Bał się dziecka, tak mówili. Ale chyba bardziej siebie.

— Tak zawsze bywa ten pierwszy raz — powiedział Heńka. — Ja się też bałem.

— Każdy się bał tego pierwszego razu — powiedział Maliszewski. — Ale po co ty go zaprawiałeś?

— Sam chciałem.

— Nie wiedziałem, że to tak wyjdzie. On do niej tak dziwnie mówił...

— Jak?

— Nie pamiętam.

— Chmurzy się — powiedział pan Gierek.

— On właśnie coś mówił o chmurach — powiedział Maliszewski. — Jakiś wiersz. Mówię wam, oni się kochają.

— Już teraz nie będą się kochać — powiedział pan Gierek. — Będą się mieli dosyć na zawsze. Po takim czymś nie będą mogli patrzeć na siebie. Niepotrzebnie to wszystko wzięło.

— Ja już wiem — powiedział Maliszewski. — Przypomniało mi się. On tak jej mówił, że jak on ją tego, to będzie ich pierwszy krok w chmurach. On to mówił, tylko że do wiersza. A ona tylko: „Boję się. Boję się” i płakała.

— Może się bała bólu?

— Nie myślę — rzekł Maliszewski. — Nie myślę, żeby się bała bólu. To przychodzi potem. Życie, inni ludzie, plotka. Ale ten pierwszy raz, to naprawdę jak w chmurach. Zakochani niczego nie widzą.

— My też? — zapytał Heńka.

— Oni teraz już nie będą się kochać — powiedział pan Gierek. — Ja sam wiem, że jakby mnie coś takiego spotkało, tobym już potem nie kochał dziewczyny.

Zmarkotniał nagie; znów ssala go pustka. Wyżłi z ogródków i znów szli ulicą.

— Nie — powiedział Heńka. — Oni już teraz nie będą się kochać. Mnie też spotkało kiedyś coś takiego. I nie kochałem już potem tej dziewczyny.

— Każdego z nas spotkało kiedyś coś takiego — powiedział Maliszewski. — Ale po co ty mu dałeś w japo?

— On mnie pierwszy uderzył — rzekł Heńka.

— Zajdziemy na to piwo?

— Możemy zajść. Ta dziewczyna tu już chyba nie przyjdzie.

— Chyba nie — powiedział pan Gierek. — I za co pan ją tak nazwałeś?

— Moją dziewczynę też tak ktoś kiedyś nazwał — powiedział Maliszewski. — I jak Boga kocham, do dziś nie wiem za co.

— I nie kochałeś się pan już potem?

— Nie — powiedział Maliszewski. Milczał, potem rzekł z nagłą złością: — Dajcie mi spokój, do cholery; nie wierzę w żadną miłość. Kobieta swojej też nie wierzę. Nikomu nie wierzę.

— Głupia sprawa — powiedział Heńka. Spojrzał na niebo i powiedział: — Chmurzy się. To jak on tam mówił?

— Zdaje się, że krok w deszcz czy coś takiego — powiedział zmęczonym głosem Maliszewski. — Chodźcie na to piwo... Albo o deszczu, albo o burzy... Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam. Nie chcę niczego pamiętać. Gdybym nie pamiętał, nie byłoby tej całej awantury.

— Będzie jutro deszcz — powiedział Heńka.

— Zawsze w niedzielę pada deszcz — powiedział pan Gierek. Skrzywił się; raz jeszcze pomyślał o swojej ohydnej żonie, o chłopaku, o dniu jutrzejszym, o ślicznej dziewczynie, o jej długich, brunatnych nogach, o jej piersiach, o jej czerwonych, świeżych ustach, o jej opalonym, silnym karku, o jej zielonych, przerażonych oczach i powtórzył bełkotem, gdyż musiał coś powiedzieć: — W niedzielę zawsze pada deszcz...

1955

(Z tomu „Pierwszy krok w chmurach”,

Warszawa 1957)

państwową. W swojej dalszej działalności zbliżył się do ruchu ludowego, a także do robotniczego, co stanowiło typowy moment w procesie identyfikacji przedstawicieli warstwy chłopskiej z narodem i w efekcie dało poezję przywodzącą na myśl Broniewskiego, Wandurskiego i Standego. Stał się wtedy działaczem społecznym, zapisał się do Stronnictwa Ludowego i jako jego przedstawiciel brał udział w zjazdach młodzieżowych, wiecach politycznych, strajkach chłopskich. Jako organizator strajku został aresztowany. Etykieta chłopca-buntownika, brak wykształcenia, stosunków i panujące bezrobocie, uniemożliwiły mu podjęcie pracy.

Jego wiersze drukowane są w tym czasie przez większość postępowych gazet chłopskich i robotniczych, tj. „Społem”, „Demokrata”, „Wiś” — Jej Pleśń”, „Obrona Ludu” i inne. Pisząc o nędzy, pisał o sobie. Jego publicystyka i utwory poetyckie były spowiedzią klasy, obrazem walki, pracy, przemian świadomości. Potrzeba wypowiedzi, „działania twórczością” łączyła go z innymi radykalnymi twórcami-chłopami.

Wiele tekstów Buczyńskiego skonfiskowała sanacyjna cenzura, a za pisanie spotykały go liczne represje, z groźbą Berezki Kartuskiej włącznie. Bieda i konflikt z rodziną zmusiły go do opuszczenia domu. Otrzymał pracę w redakcji „Gońca Nadwiślańskiego”. Do jego obowiązków należała, obok pracy w redakcji, funkcja tzw. „redaktora odpowiedzialnego”, który szedł do więzienia wtedy, gdy gazeta naraziła się cenzurze. Przed wybuchem wojny miał trzy takie procesy, które za każdym razem zaprowadziły go za kraty.

Znany był również na Pomorzu z działalności antyniemieckiej. Swoimi publikacjami przyczynił się do wykrycia koszar hitlerowskich, zakonspirowanych w dworze Körbera w Nowych Jankowicach. Gdy władze polskie przejęły ten folwark, zbierał podpisy, wy-

syłał do Sejmu podania, żeby zabraną niemieckiemu dziedzicowi ziemię podzielić między chłopów. Wkraczający na Pomorze hitlerowcy rozeszali za Buczyńskim listy gończe. Zdołał uniknąć śmierci, ponieważ w sierpniu 1939 roku wyjechał do sanatorium leczące się z nabytej w więzieniach otwartej gruźlicy płuc. Razem z innymi uchodźcami przypadkiem znalazł się na Ziemi Lubelskiej we wsi Kotorów koło Hrubieszowa. Tam się osiedlił, ożenił, zaczął pracować na roli. Wielokrotnie musiał ukrywać się przed bandami ukraińskimi i hitlerowcami, m.in. we wsi Modliborzyce, gdzie pracując w Polskim Komitecie Opiekuńczym, pomagał głodującej ludności, wysiedlonej przez Niemców. Oglądał pacyfikację Zamojszczyzny. Wtedy powstało wiele wierszy wojennych, partyzanckich.

Po zakończeniu wojny wrócił do Kotorowa. Jednak wojna zniszczyła wszystko. Musiał wyjechać do miasta, do Hrubieszowa. Tam z rodziną mieszkał w bardzo trudnych warunkach, pisał wiersze i krytyczne korespondencje do gazet lubelskich, dotyczące występujących w jego miejscowości kłęk, przejawów niegospodarności i marnotrawstwa. W wyniku represji ani Buczyński, ani jego żona nie mogli nigdzie otrzymać pracy, choć dawno minęły czasy bezrobocia i sanacji. Buczyński jako temat zaczął interesować dziennikarzy. Powstało wiele artykułów interwencyjnych.

Chory, nie zrozumiany, pisze drobne wiersze, uprawia kawałek ziemi, oddalony o 20 kilometrów od miejsca zamieszkania, żeby z tego utrzymać rodzinę. Dopiero udział w zorganizowanym w 1961 roku Zjeździe Pisarzy Chłopskich dopinguje go do systematycznego pisania. Mimo złego zdrowia odbywa szereg spotkań autorskich, najczęściej w wiejskich domach kultury, klubach, szkołach i nareszcie mieszka na wsi, w Kotorowie, w swoim domu. Pracuje na własnym polu i pisze. Wiś, którą widzi, jest imna i jego wiersze



Fot. St. Wdowiński

zdecydowanie różnią się od tych, jakie pisał w międzywojennym dwudziestolecu. Zanim to jednak nastąpi, jeszcze podczas pobytu w mieście mówi: *Marzeniem moim jest wrócić na wiś, do chłopskiej chaty, do pracy na kawałku ziemi, bo uważam, że tam jest moje miejsce. A że lat mam na karku sporo i głowę w słońcu, więc... Pomóżcie mi, pomóżcie Wrócić do ziemi, do chaty...*

Gdy go spotykam, poeta dopiero w wieku sześćdziesięciu lat zaczyna myśleć o urządzeniu sobie życia. Po gospodaraku cieszę się tym, że spłacił dług zaciągnięty na kupno domu, że wybudował oborę, studnię, silos. Choć poważnie chory, wspólnie z synem pra-

cuje, uprawia ziemię. Syn także pisze wiersze.

Dom Buczyńskiego. Bardzo wiele książek, duże portrety Mickiewicza, Kościuszki, reprodukcje Chełmońskiego i Wyspiańskiego. Żona, która na pamięć zna większość mezo-wiekowskich wierszy i innych chłopskich poetów. Włącza się do dyskusji nad współczesną poezją ludową. Poza pracą, która daje chleb i pieniądze, istnieje również miejsce na to drugie, duchowe życie, wypełnione twórczością z potrzeby serca, w której bogactwie zobaczyć można i nurt poezji społecznie zaangażowanej, grupę utworów o współczesnej wsi, „budowaniu nowego”, wiersze religijne wiersze o miłości, rodzinie, refleksyjne wiersze o sensie życia, treny na śmierć żony.

Wypełniło się ludzkie życie. Trudne, aktywne, twórcze. Przepelnione motywem drogi do ziemi, powrotu na wiś, by realizować do końca swoje chłopskie powołanie, by „pszennym ziarnem w skiby zapaść”.

Idę i śpiewam, idę i śpiewam wieczorem, nocą i rano. A może wrosną jak one drzewa w ziemię umiłowaną? Ze w ciężkiej chwili mojego zgonu ach, jak to będzie ładnie: Syn, mój uderzy w te serca dzwoniące, że iza spizowa spadnie?... Bo ja dni moje bez gwiazd i chwały śpiewaniem chciałbym napaść... A potem — pszennym tym ziarnem małym Chciałbym w te skiby zapaść... Jak mi nie śpiewać, jak mi nie śpiewać — taka już moja dola — bo chcę po śmierci choć echem wrócić do wsi i na te pola...

„Jak mi nie śpiewać” (z rękopisu) Umarł 23 lutego 1982 r.

8.V.1945 — wtorek. Uroczystość dnia wyzwolenia. Zaproszony ppłk amerykański R. D. Gaylor (? — red.), delegaci MCK, Polki i Polacy z Murnau, Jugosłowianie, Nabożeństwo, podniesienie flagi — z hymnem państwowym, podniesienie flagi. O godz. 15.00 przemówienie Churchilla [przez radio brytyjskie? — red.], o godz. 21.00 — przemówienie króla Jerzego VI. Kilka godzin wioślowania na jeziorze.

9.V. — środa. [...] Po odejściu wojsk walczących przybyła amerykańska armia okupacyjna. Przepisy dla Ośrodka naszego: do godz. 15.00 mogą jeździć wszelkie pojazdy, od roweru w górę. Spacer — do godz. 19.00. Po tym czasie — jest strzelanie [przez Amerykanów — do wszystkich poruszających się obiektów — red.].

Wszyscy Niemcy od rocznika 1912 do 1929 podlegają rejestracji. Okolica, szczególnie podgórska, wioski oddalone od tras głównych są niebezpieczne z uwagi na ukrywających się SS-ów.

Gen. dyw. Rommel na wezwanie rządu londyńskiego wyleciał do Londynu wraz z kontradmirałem Unrugiem.

10.V. — czwartek. W godzinach porannych oddzielili do Londynu gen. gen. Bór-Komorowski, Kossakowski, Sawicki, Pełczyński, Skroczyński i Chróściel.

O godz. 00.16 podpisany został akt ratyfikacyjny kapitulacji Niemiec. [...]

Marsz. Goering i Kesselring zostali schwytani przez 7 armię amerykańską. Biuletyn informacyjny o Dachau mrozi krew w żyłach. W dniu wczorajszym gen. Rommel i kontradm. Unrug wylądowali w Le Bourget pod Paryżem.

Z dniem dzisiejszym Murnau przejmowane jest przez armię okupacyjną.

Z dniem 12.V. biuletyn ukazywać się będzie o godz. 8.00 rano.

11.V. — piątek. Upał. W godzinach popołudniowych bawił w Ośrodku będący w podróży do Paryża gen. Anders. Witany nadzwyczaj owacyjnie. W hali osłoniętej wygłosił przemówienie. Skreślił w kilku słowach dzieje Narodu Polskiego od roku 1939 do chwili obecnej. Podkreślił uznanie, jakie zdobył sobie żołnierz polski walczący po stronie Aliantów. [...]

Etapowe władze amerykańskie wydały zakaz dla wszystkich — wchodzenia do domów niemieckich i czynienia jakichkolwiek zakupów. W Ośrodku balagan niesamowity. Patrząc na rozbudowaną ilość sztabów, oddziałów, wydziałów, służb, wierzyć się nie chce w szereg bezcelowych zarządzeń. Z drugiej strony, i postępowanie oficerów naszych już po prostu nie: pozostawia dużo do życzenia, a — jest oburzające.

Słusznie wczoraj na kazaniu wołał kapłan o opamiętanie się. W górkich słowach piętnował oficerów, którzy nie pomni na krzywdy, jakich naród polski doznał od barbarzyńców niemieckich, spacerują z Niemkami, obcałują je po rękach, rozdają cukierki dzieciom niemieckim. Gromił faryzeuszów, którzy w ciągu długich lat niewoli okupowali kaplicę, która dzisiaj — świeci pustkami. Białad nad postępowaniem tych wszystkich z elity: są to przecież oficerowie, a postępowanie ich tak boleśnie chłoszcze po twarzy tych, którzy na to patrzą. Ale zaprawdę, jest to głos wołającego na puszczy, bowiem czego Jaś się nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał.

Wczorajem 2 polskich oficerów przyniesiono na noszach, pobitych przez Francuzów.

12.V. — sobota. [...] Otrzymałmy do wypełnienia kwestionariusze — od daty urodzenia do ostatniej chwili.

Z Olesiem obeszlśmy jezioro Rieg dla wyszukania miejsca do połowu ryb. Znowu szereg obrazków romansów naszych oficerów z Niemkami.

Nad jeziorem spotyka się dużo Murzynów z armii amerykańskiej — strasznie wesole chłopaki.

13.V. — niedziela. Dzień upalny. Z Olesiem i kpt. Tomaką od godz. 6.00 do 17.00 jesteśmy na rybach — połów niezbyt udany.

Do Londynu przybył gen. Bór-Komorowski witany owacyjnie jako Wódz Naczelny przez przedstawicieli Rządu Polskiego.

Wczorajem — w kierunku dworca — pożar.

Choroba ewidencji — prawie codziennie ktoś przychodzi lub zarządza spisywanie ewidencji.

Nareszcie po 6-ciu dniach mamy w drużynie światło.

14.V. — poniedziałek. [...] Znowu wydawanie suchego prowiantu, tzw. breakfastów. Ja już chyba dłużej na tym nie wytrzymam. Strawa gotowana chleb i kartofle — 2 do 3 razy w tygodniu. Mleko bardzo rzadko, jarzyn żadnych. Kupowanie czegośkolwiek, jak i w ogóle wchodzenie do domów niemieckich, zabronione przez władze amerykańskie. Samochody, motocykle i rowery — poza najniezbędniejszymi potrzebami Ośrodka — zabrano przez amerykańskie władze etapowe. Warty zewnętrzne w Ośrodku zniesione. Etapowe władze amerykańskie anulowały wszystkie dotychczasowe zarządzenia i rozkazy poprzednich władz wojskowych amerykańskich.

Szczepienie przeciwtyfusowe — g. 19.30. Waga — 62 kg. [...]

15.V. — wtorek. Imieniny Zofii. Niestety, nie można nawet kilku słów skreślić. Tak to w rzeczywistości wygląda koniec wojny, wyzwolenie Europy od ciemnicy niemieckiej. Wyzwolenie dla wszystkich narodów. Tylko my, Polacy, ten wieczny Chrystus Narodów cierpiący za wszystkich i za wszystko, nie możemy się doczekać zasłużonej nagrody. [...] Hasła, ideały, wspólnota, czort wie jakie miłości braterskie, a wszystko to o ślup rozbici. Nie wydaje mi się, aby na takich „Ersatzach” można daleko pojechać. Więc od 2 tygodni masz człowieku wolność, a już przez najróżnorodniejszych sojuszników jesteś tak instruktami, rozkazami, obłożony, że musisz uważać, jak masz krok postąpić, aby nie wpaść w kolizję z „prawem”. [...] Ale to wszystko furda naprzeciw braku wiadomości o najbliższych w kraju! Czy i jak żyją, ich samopoczucie, warunki materialne? Jak można być spokojnym o ich los, skoro tak czarne wieści przeciekają z tamtej strony? A jednak podobno sześciu oficerów (AK) z naszego Ośrodka wyjechało samochodem i są już w Polsce?

Dzisiaj święto pułkowe 8 p.p. Leg. Cała uroczystość polegała na popołudniowej mszy o 6.00. Bajerek! Wspomnienia dawnych czasów, no i największa bolączka — jak to wszystko ułożyć się w najbliższej przyszłości — gdzie i w jakich warunkach każdy z nas dokona swego żywota?

Pogoda naprawdę wspaniała, cudowna. W ciągu sześciu lat pobytu w Murnau takiego maja nie było. Jeszcze pod koniec tego miesiąca byłyby zawieje śnieżne łącznie z bardzo zimnymi wiatrami. A dzisiaj [!] od szeregu dni, niebo bez chmurki, temperatura w cieniu dochodzi do 25°C. Jest to jeden z najpiękniejszych darów wolności. W tak cudowny dzień wyjść za druty nad jezioro, do lasu, na łąki. Co za cudowne zapachy! Ale naprawdę trzeba mieć nadzwyczaj subtelny węch, aby umieć rozkoszować się tym wszystkim. Trzeba mieć także wspomnienia jak Huczwa, Dominik, Gołębówie, Siwa Dolina, aby móc odczuć to wszystko każdym atomem ciała. Ma to i swoje złe strony — zaraz przychodzi szara rzeczywistość i bez ogródek, bez sentymentów, z argumentami nie do odparcia, mówią ci głosem krew w żyłach mrozącym, że to wszystko minęło bezpowrotnie, a więc skończyła się młodość. I w tym miejscu najlepiej jest skończyć wszystkie rozważania i pocieszyć się myślą, że już od czwartku podobno przechodzimy na normalne wyżywienie z kotła.

Z dniem 16.V., to jest od jutra — wszystkie przepustki i urlopy na przywiezienie rodzin zostały wstrzymane z uwagi na rozkaz władz amerykańskich, który zabrania nam spacerów dalszych jak 5 km w obrębie Murnau. [...]

16.V. — środa. Dzień upalny. O godz. 6.00 wybrałem się z Makolą na ryby. Wydało mi się, że z łowieniem ryb to sprawa ma się podobnie jak z kartami. Jak ktoś ma pecha, to przez cały wieczór nie dostanie nawet dwóch par, podczas gdy inny nie będzie schodził z futa. Tak samo i tutaj: gość o parę kroków co kilka minut ciągnie obrzydliwego lina, a tobie nawet splawik nie drgnie. [...]

17.V. — czwartek. Z dniem dzisiejszym przeszliśmy na wyżywienie z kotła. Śniadanie: 1/2 litra kawy z mlekiem; obiad: 3/4 litra (teoretycznie) rzadkiej zupy jarzynowej; kolacja: 1/2 litra czarnej kawy. Kawa rano i wieczorem strasznie z lewego skrzydła. Dodatki: 2 ziemniaki, 350 gm (teoretycznie) amerykańskiego chleba. Jedzenia niesłychanie mało, całkowity brak świeżych jarzyn, mleka, masła itp.

Rozgoryczenie niesamowite, pogarszane łagodnym obchodzeniem się Amerykanów z Niemcami.

Dla mnie osobiście sytuacja nasza, taka niezdecydowana, bezpieczna, jest wprost nie do zniesienia. Kręcenie się nasze w promieniu tych 5 km wśród ludności niemieckiej jest tak beznadziejnie głupie, że nie dziwię się zupełnie Niemcom [...], że w wielu wypadkach odnoszą się do nas z miłą pogardą. O ile w pierwszych dniach po naszym wyjściu, świadomi swolich zbrodni, szczególnie w stosunku do narodu polskiego — wprost drżeli ze strachu, dzisiaj, kiedy poznali, że nam nic nie wolno, odpowiednio nas traktują. W ciągu tych sześciu lat człowiek przyzwyczaił się już do takich paradoksów, iż nie zdziwił mnie zupełnie taki fakt, że hptm. Greven, który w ostatnich latach był i oficerem obozowym, który tak szantażował oficerów, za którego [czasów] Niemcy dokonali tylu morderstw, dzisiaj widziany był przez Witka Łopuszańskiego w przepięknej willi, w cywilnym ubraniu, na wolnej stopie.

Zwiedziłem dzisiaj polskie schronisko w Murnau. Nowiasty pochodzą przeważnie z niższych sfer. Poziom moralny z punktu widzenia — no, powiedzmy, etyki katolickiej — strasznie niski. Dziewczynki 16-letnie mają dzieci. Samo schronisko urządzone luksusowo. Pięknie umeblowane, czyste pokoiki, przytulne świetlice. Przytulne, ale i okupowane przez naszych niesamowicie. Nie dziwię się chłopakom. Sześć lat postu, no i zakaz zbliżania się do Niemek, który — nie powiem, aby był ścisłe przestrzegany.

Jeśli chodzi o mnie osobiście, to na razie po wyczerpaniu fizycznym w ostatnich miesiącach niewoli, nie odczuwam pociągu do kobiet. Kto wie, czy w tej dziedzinie nie trzeba będzie zaczynać od początku. Zresztą przyznam się, że nie spotkałem jeszcze ładnej, zgrabnej niewiasty. Bolszewiczki mają ładne pierś, Francuzki — strasznie wyma-

lowane, Jugosłowianki — okropnie pilnowane przez Serbów; możliwe — Estonki, ale Niemki — prawie okropnie albo suche jak deski, albo rozbudowane jak cielne krowy; typów pośrednich bardzo mało. [...]

18.V. — piątek. Służba w drużynie [...]
19.V. — sobota. Połów ryb na rzecze Aach... — i znowu bez wyniku. Przydział — po 1/2 paczki amerykańskiej nr 10. Godzina policyjna przesunięta do 21.00

20.V. — niedziela. Zielone Święta. Z Gatajem i Bernaciakiem spacerowaliśmy lasy na pod-wsch od Reigsee. W obozie odbyło się szereg ślubów Polaków będących na robotach. Wyżywienie znacznie się poprawia. Legie zniesione; pozostała organizacja blokowa — z tym, że byli najstarsi bloków zostali dowódcami bloków.

Z dniem dzisiejszym Amerykanie zgodzili się na wydawanie 3-dniowych przepustek indywidualnych. W blokach odbywa się codzienne sprawdzanie obecności.

21.V. — poniedziałek. Dzień pochmurny. Po południu silny foen — deszcz — zimno. Przejazdka samochodem — pierwsza po sześciu latach.

Widziałem francuskich obywateli, którzy transportowali przez MCK do Szwajcarii z Mauthausen. Nie jestem w stanie opisać tej nędzy ludzkiej, są to cienie walące się za najbliższym podmuchem wiatru. Słuchać się nie chce, bo naprawdę momentami wydaje się, że podobne tortury powstać mogą tylko w fantazji i to u jednostek o niesłychanie bujnej wyobraźni. I pomyśleć tylko, że ci biedacy nocują od jutra w stodolach na siano — nie mają porządnego kwatru. Kiedy człowiek patrzy na to wszystko, przestaje wierzyć, że światem ktoś w ogóle kieruje, przestaje wierzyć w jakiegokolwiek prawa.

Dla nas osobiście — uważam za wielką torturę pozostawienie Polaków na terenie niemieckim z jednoczesnym zabronieniem nawet kupna jakiegokolwiek przedmiotów.

22.V. — wtorek. Imieniny Dziudy! Od czasu powstania warszawskiego nie mam żadnych wiadomości. Wczoraj odwiedziłem w schronisku polskim Darżynowa Ludwika z córką, z Lublina; Polaka pochodzenia chińskiego względnie kałmuckiego. [...]

W ciągu dnia w kierunku Monachium przejechało mnóstwo samochodów z jeńcami wojennymi niemieckimi bez żadnej eskorty, tak że pojedynczy jeńcy jechali nawet na motocyklach. W samochodach duże tobory i rowery. Ludność cywilna niemiecka, znajdująca się na drodze przejazdu, czyniła im owacje.

Do obozu przyjechało dla rejestracji kilka samochodów Polek-warszawianek z prac w Monachium.

Drugie szczepienie przeciwtyfusowe. Rozkaz dowództwa POW zabraniający Polakom stykania się z Niemcami.

23.V. — środa. Fatalne samopoczucie po szczepieniu. Bolesław Ciborowski z dniem wczorajszym został skreślony z listy wyżywienia oraz skazany na utratę praw b. jeńca wojennego z powodu tego, że 2 dni po upływie terminu przepustki nie powrócił jeszcze do Ośrodka.

Niemcy, w dalszym ciągu bez eskorty, jadą w kierunku Monachium. W POW. odbył się mecz siatkówki USA — Polska (1:2).

24.V. — czwartek. Dzień pochmurny, dżdżysty. Połów ryb — i tym razem nieudany. Himmler popełnił samobójstwo. Hitler rzekomo w dniu 1.V.45 r., po śmiertelnym zastrzyku, został spalony. Powrót Ciborowskiego do Ośrodka.

25.V. — piątek. O rybach już nie wspominać, bo wypasione jak SS-y, nie chcą brać. [...]

Rewanż meczu siatkówki USA-POW (0:2). W rozkazie POW — wymieniono uznanie dla Janusza Wieczorka, Baumana Józefa, Najbara Franciszka, Grafińskiego Stanisława, Jarosza Romana, Lencmańskiego Zygmunta, Szyperskiego Karola, Futujmy Stefana, Kuźmy Bartłomieja — za wykonanie podkopy w latach 1943/44 i oddanie go do ewentualnego użytku ogólnego.

26.V. — sobota. Spotkałem Polkę bardzo podobną do Dziudy. Zaniechałem poznania, gdyż w międzyczasie dowiedziałem się, że jest zaręczona z porucznikiem amerykańskim.

27.V. — niedziela. Długi spacer z Olesiem nad Loisach. Oglądałem leje po bombach amerykańskich oraz zombardowany most z zatopionym samochodem.

[...] Generałowie i starsi oficerowie mają wyjechać do uzdrowisk. Kilku set oficerów najmłodszych ma pójść na uzupełnienie do korpusów polskich. Z reszty mają być potworzone bataliony pracy na terenie Niemiec.

Do obozu przyjechało kilkadziesiąt kobiet AK.

28.V. — poniedziałek. Przyjazd dalszego transportu kobiet AK. Rozmowa z Czeszkami. Pożegnanie się z nami gen. Bortnowskiego. List od płk. Cybulskiego.

Obok kościółka ewangelickiego Amerykanie odkryli piwnicę. Kilkanaście samochodów win, szampa i wódek. Niesamowite ogólne pijactwo w całym Murnau.

29.V. — wtorek. Zarządzenie amerykańskie, mocą którego każdy żołnierz polski nawiązujący kontakty z Niemcami będzie aresztowany przez policję amerykańską. Drugi rozkaz amerykański dotyczy ograniczeń spacerów w kierunku północnym do 3 km.

Gen. Anders ustąpił z p. o. Nacz. Wodza. Gen. dyw. Bór-Komorowski Tadeusz objął funkcję Naczelnego Wodza.

Otrzymałmy po 100 M. okupacyjnych na konto poborów. Stozunek do Reichsmarki jeszcze nie uregulowany.

30.V. — środa. Pierwszy raz pitem wino. Grupa oficerów wyjeżdżają do prac terenowych. Mecz koszykówki POW — USA (18:2).

31.V. — czwartek. Boże Ciało. Grupa ponad 100 oficerów z 14, 15 i 17 dyw. poz. odjechała do bal. pracy. Pogoda fatalna, od rana deszcz.

W teren nie wyjeżdżam ponieważ przewidziany jestem w dywizji na uzupełnienie do armii czynnej. [...]

1.VI. — piątek. W dalszym ciągu grupy po stu kilkudziesięciu oficerów wyjeżdżają w teren.

W godzinach popołudniowych wywiezieni zostali generałowie i marynarze. Generałowie naszych wywieziono zwykłym bydlęcym samochodem. Wieczorem na szosie przed obozem zatrzymała się kilkukilometrowa kolumna samochodowa z jeńcami wojennymi (SS — Panzer Division Viking). Oficerowie i podoficerowie w czapkach garnizonowych z trupimi główkami i wszystkimi dystynkcjami. Oficerowie SS z bronią boczną. Szereg jeńców w luksusowych autobusach, a nawet osobowych limuzynach. Na odcinku całego miasta aż do koszar dolnych nie spotkałem konwojentów amerykańskich. SS-owcy swobodnie rozmawiali z ludnością cywilną niemiecką, otrzymując od niej żywność i papierosy. Widok powyższy dla nas Polaków jest zupełnie niezrozumiały. O ile staraliśmy się zrozumieć tak łagodne obchodzenie się z Volksturmem, to naprawdę, w stosunku do SS-ów nie potrafili tego wytłumaczyć.

Kilku SS-ów starało się uciec. Jeden został zauważony przez polskich oficerów. Schwytany został przez nich w przydrożnym domu niemieckim, gdzie przebrał się w mundur polski. Przy zabieraniu postawił się kantom, a kobiety niemieckie podniosły niesamowity krzyk. Ponieważ oficerom polskim Amerykanie zabronili posiadania pistoletów, SS-owiec otrzymał tylko parę sierpowych. Rodzina natomiast niemiecka, która udzieliła mu pomocy przy ucieczce, spokojnie pozostała na miejscu, podczas gdy w wypadku podobnym w czasie okupacji Polski przez Niemców — byłaby już zaareztowana w najlepszym razie.

Dyskusji i rozgoryczenia na [ten] temat nie opisuje, bo obawiam się, że i papier nie przyjąłby tych słów oburzenia.

Łowienie ryb i chodzenie po łakach nadzwyczaj niebezpieczne, ponieważ żołnierze amerykańscy urządzają sobie ostre strzelanie sportowe do kaczek, ptaków, puszek na rzece itp. bez względu na bezpieczeństwo otoczenia. Dodać należy, że przecież w promieniu niecałych 6-ciu kilometrów obraca się stale około 6.000 polskich oficerów i ludności cywilnej. [...]

2.VI. — sobota. Pochmurno — deszcz. Wyjazd dalszych grup w teren.

3.VI. — niedziela. O godz. 12.00 zbiórka 3 D. P. Leg. dla spisania danych ewidencyjnych. Cholery można dostać z tą ewidencją. Prawie codziennie piszą ewidencję, i to te same dane.

Polów ryb — 1 lipień, 3 płotki.

Dyskusja z Lechem Zbigniewem, inżynierem architektem, na temat stosunków panujących w Polsce [...]. Uważa, że deportacji nie ma, że kto powróci i zechce pracować, ten zawsze robotę dostanie. Nie widzi argumentów, aby było tak źle, jak przedstawia obecna propaganda.

4.VI. — poniedziałek. [...] Prawie cały dzień piszę u Olesia ewidencję oficerów 3 D. P. Leg. — zestaw POW i oficerów odchodzących do linii.

5.VI. — wtorek. Sytuacja coraz bardziej beznadziejna z uwagi na całkowity brak papierosów. O jakichkolwiek przydziałach ze strony Amerykanów nie ma mowy. [...]

6.VI. — środa. O godz. 8.30 uroczyste nabożeństwo z okazji rocznicy inwazji Aliantów na Francję. W Anglii wielkie uroczystości — przez radio mowy uroczyste — co drugie słowo: sprawiedliwość, prawo, ukaranie zbrodni niemieckich, sentymenty między Aliantami itd., itd.

Anglia i Ameryka oburza się na Rosję, że ta nie pozwala na przyjazd do swoich terenów okupacyjnych przedstawicieli prasy alianckiej, którzy na miejscu chcieliby zobaczyć panujące tam stosunki. Byłoby rzeczą ze wszech miar pożądaną, aby przedstawiciele rządu polskiego przybyli na tereny okupowane przez Amerykanów dla zobserwowania traktowania przez nich Polaków i Niemców. [...] Ze polityka jest rzeczą brudną — rozumem doskonałym, ale jak już śmierzdzi głównem, to nie sądzę, aby przetrwała na dłuższą metę, obojętnie dla której strony, a to już zależy od subtelności powonienia poszczególnych stron. [...]

8.VI. — piątek. Z Dachau przybyło do Ośrodka dwudziestu kilku księży — kilku oficerów i paru szeregowych.

9.VI. — sobota. Cały dzień dżdżysty. Wieczorem w hali oskłonej — film amerykański. Zbiórka Bloku K. — przywitanie się z nowym dowódcą. Słub ppor. Suskiego.

10.VI. — niedziela. Rocznica przystąpienia Włoch do wojny przeciw koalicji (1940 r.).

Raja — gitarzystka.

11.VI. — poniedziałek. Beata.

12.VI. — wtorek. Elżbieta. — Zakaz chodzenia do lokalni niemieckich.

13.VI. — środa. Elżbieta.

14.VI. — czwartek. Poznałem 5 Polek przybyłych z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Zarządzenie amerykańskie w sprawie wypieku chleba. Amerykańskie piekarnie z powodu uszkodzeń nie mogły chleba wypiekać. W związku z powyższym przydzielają nam tylko mąkę — piec musimy we własnym zakresie. Piekarni niemieckich rekwirować nie można, mogą być używane jedynie za zgodą właścicieli. Gdyby więc właściciele piekarni, Niemcy, nie chcieli się zgodzić — ponad 5.000 oficerów bez chleba. Dzięki jednak ich uprzejmości — na razie nam to nie grozi i płacąc po 8 fenigów za wypiek 1 kg chleba — mamy co jeść.

15.VI. — piątek. Złożyłem podanie o udzielenie mi przepustki do Dortmundu, celem odnalezienia Zdzicha...

Wychowując w tłumie

Dokończenie ze str. 1

W warunkach współczesnych życie rodziny, nawet pełnej (a warto wiedzieć, że w miastach liczba rodzin niepełnych sięga 15—18 proc), nie pozostawia nadmiaru czasu na pracę wychowawczą nad dziećmi. Tego rodzaju rola rodziców pracujących wyczerpuje się w zasadzie na zabezpieczeniu potomstwu środków do życia, wyekspluowaniu go do szkoły, przygotowaniu posiłków, dopilnowaniu odpowiedniego czasu snu. Jeśli nawet pozostają do dyspozycji wolne soboty oraz niedziele, to praca wychowawcza domu w cyklach cotygodniowych będzie w pewnym sensie akcyjna. Nie zawsze w takich układach nawiązać można z dziećmi prawdziwe kontakty wychowawcze, tym bardziej, że dla młodzieży dorastającej ważniejsze stają się związki z rówieśnikami niż z rodzicami. Te i inne aspekty zjawiska wysuwają środowisko szkolne i kręgi rówieśnicze na pierwszy plan działalności wychowawczej i tam właśnie trzeba szukać zarówno przyczyn niepowodzeń, jak i głównych czynników pozytywnych trudnego procesu pedagogicznego.

Nasuwa się pytanie: czy współczesna szkoła polska jest odpowiednio do tych zadań przygotowana? Słyszycy wiele głosów, że sukcesy wychowawcze zależą przede wszystkim od przysposobienia nauczycieli do zadań dydaktyczno-wychowawczych, co jest zresztą zgodne z prawdą. Słusznie podkreśla się przy tym, że wyższe uczelnie przygotowują prawie wyłącznie dydaktyków, nie pedagogów, ale bardzo rzadko zwraca się uwagę na inny aspekt sprawy: na stopień przygotowania infrastruktury i organizacji szkół dla pracy wychowawczej. W tej dziedzinie czyniono niemal wszystko dla potrzeb dydaktyki (pracownie, sale przedmiotowe itp.), zapominając o tym, że dobra organizacja pracy w zespole klasowym to ważny, ale bynajmniej nie jedyny czynnik wychowawczy.

Dla procesów pedagogicznych nie jest wcale obojętne, w jakich warunkach kontaktują się ze sobą uczniowie w czasie przerw międzylekcyjnych, czy w trakcie zajęć pozalekcyjnych, w jakiej przestrzeni egzystują i jakie jest zagęszczenie izb szkolnych, szczególnie zaś miejsce rekreacji. Nie jest neutralne to, czy uczniowie na terenie szkoły prezentują własną osobowość głównie wobec rówieśników, czy nauczycieli. W przypadku pierwszym pozostają w świadomości własnej jako anonimowe jednostki wielkiej zbiorowości, co jako stan codzienny nie stwarza właściwej atmosfery wychowawczej.

Z tych zapewne względów tradycyjne budownictwo szkolne, aż do końca lat pięćdziesiątych, obliczone było na przyjmowanie w jednym budynku od 300 do 500 uczniów, zakładając naturalnie naukę na jednej zmianie. Jak dalece pogorszyły się warunki pracy tych szkół, które mieszczą się w budynkach z tamtych lat, ale liczą dziś po 1200—1500 uczniów, pracując, rzecz prosta, od godz. 7.30 do 18.00 w nieustannym zagęszczeniu, wielokrotnie przekraczającym normy?! O ile podczas lekcji w takiej szkole młodzież pozostaje pod opieką wychowawczą, o tyle w przerwach opieka ta sprząda się do nominalnego dyżuru, w czasie którego główną rolą nauczyciela staje się pilnowanie, by uczniowie nie rozbili tego, co w ich zasięgu pozostaje jeszcze do uszkodzenia. Chyba nie na tym powinna polegać praca wychowawcza, ale w takich warunkach niewiele pomóc mogą talenty pedagogiczne nauczycieli.

Epoka oszczędności w gospodarce obdarzyła szkolnictwo obiektami—kolosami. Niektóre z takich budynków prezentują się nawet okazale na zewnątrz, bogatsze są też pod względem wielkości terenów rekreacyjnych (w naszych warunkach atmosferycznych wykorzystywanych zaledwie w 50 proc.). Cóż z tego, skoro zaplanowane na 800—1000 uczniów, przy założeniu pracy szkoły na jedną zmianę, „hangary” te mieszczą dziś nierzadko dwukrotnie więcej dzieci i młodzieży. Podobnie przedstawia się sytuacja szkół ponadpodstawowych, szczególnie zawodowych, gdzie w czasach powszechnej mody na tworzenie kombinatów łączono organizacyjnie wszystko, co mniej lub bardziej dawało się dopasować w tzw. zespoły szkół pod wspólną dyrekcją. W ramach oszczędności, pojmowanej wyłącznie w kategoriach ekonomicznych, ograniczono bardzo poważnie funkcje wychowawcze szkół, a skutki tej polityki widać dziś gołym okiem.

Szkoła jako placówka wychowawcza spełniać może swoje funkcje w sposób optymalny, jeśli wszyscy członkowie procesu pedagogicznego w pewnym stopniu znają się nawzajem. Znaczą to, że nauczyciele znają uczniów nie tylko z własnego zespołu klasowego, czy tych, którym przekazują wiedzę z określonych przedmiotów, ale całą młodzież danej szkoły. Znajomość ta powinna wpływać zarówno na kontakty codziennych, jak też z posiedzeń rad pedagogicznych, na których każdy uczeń winien być okresowo charakteryzowany. Sytuacje pedagogiczne wymagają działań natychmiastowych, ale czy można wyobrazić sobie właściwą reakcję nauczyciela w stosunku do ucznia, kiedy pierwszym elementem rozmowy jest ustalenie danych personalnych wychowanka? W większości przypadków rzecz kończy się odesłaniem ucznia do wychowawcy klasy. Sprawa wychowania rozkłada się wówczas na „biurokratyzowane” instancje i często

ginie po drodze w nawale innych terminowych prac nauczyciela. Kolejne przypadki podobnego typu utrwalają w przekonaniu wychowanka poczucie anonimowości i co za tym idzie — bezkarności.

W szkole wielkiej nie ma też warunków do właściwej analizy sylwetki ucznia na posiedzeniach rad pedagogicznych. Z prostej przyczyny — braku czasu — dokładniej rozpatruje się tam zwykle sytuacje wyjątkowe, to znaczy uczniów odbiegających od ogólnie przyjętej normy. Może dlatego mamy dziś tak wiele przypadków zaskoczenia samych nauczycieli niektórymi postawami uczniów najlepszym pod względem naukowym? Zespół nauczycielski nie wynosi z posiedzenia rady pedagogicznej wiedzy o poszczególnych uczniach, ich osobowości, skutecznych sposobach reagowania na incydenty konfliktowe. Uświadomione czy nieświadome działanie nauczyciela wobec tak zobiektywizowanej rzeczywistości prowadzi do „odpychania” problemów wychowawczych byle dalej od siebie. Przypadki konfliktów o szczególnym znaczeniu trafiają najczęściej do dyrektora szkoły. W opisanych warunkach staje on przed podobnym problemem: nieznanymi cech osobowych wychowanka. Nikt chyba nie uwierzy, że półtoratysięczna zbiorowość uczniowska może być wystarczająco poznana przez dyrektora w zakresie niezbędnym dla rozwiązywania spraw wychowawczych. Starsze pokolenie pamięta szkoły, w których dyrektorzy potrafili natychmiast przedstawić dość pełny obraz osobowości każdego ucznia. Ile jest dziś takich szkół? Ilu takich dyrektorów? Nie trzeba chyba uzasadniać, jakie stąd wynikają konsekwencje wychowawcze. Zważmy ponadto, że dyrektor współczesnej szkoły, z racji zakresu zadań, pełni bardziej funkcje administracyjno-organizacyjne, niż pedagogiczne. W takich warunkach problemy wychowawcze szkoły spadają głównie na barki opiekuna klasy. Jak one bywają rozwiązywane, to osobny problem, godny odrębnego omówienia.

Wydać się może, iż eksponowanie złych warunków wychowawczych współczesnej szkoły w czasie znanych wszystkim trudności gospodarczych kraju nie może prowadzić do żadnych wniosków praktycznych. Szkół jest zbyt mało — ktoś zauważy — by można w nich tworzyć warunki lepsze. Ale taki pogląd na sprawę ma tylko pozornie cechy obiektywnej konieczności. Sądzę, że nawet w aktualnej sytuacji kraju trzeba o problemie mówić, trzeba sobie uświadomić to, iż dzisiejsze działania wazą o bardzo odległej perspektywie naszej oświaty — wychowania pokolenia XXI wieku. Obecne decyzje nie mogą pogłębiać błędów w dziedzinie należącej do bodaj najtrudniejszych — nie tylko dla naszego społeczeństwa i nie tylko dla polskiej szkoły.

Już dziś należałoby odstąpić od pozornych oszczędności kalkulowanych przy wyborze: budować jedną szkołę wielką, czy kilka mniejszych (w nowych osiedlach mieszkaniowych). Nawet w obecnej depresji dążyć do usprawnienia aktywności wychowawczej szkół, gdyby jednostek organizacyjnych tych placówek nie określały rozmiary budynków szkolnych. Nie by się nie stało jeśliby w jednym budynku mieściły się dwie szkoły. Takie rozwiązania znamy i z lubelskiej tradycji (szkoły nr 11 i nr 22 na Bronowicach, nr 1 i nr 14 na Kunieckiego). Procesom łączenia szkół w większe kompleksy towarzyszyły względy organizacyjno-administracyjne, nie zaś pedagogiczne. Z dokumentów wynika, że decyzje „zlepiania” szkół były zabiegami wygodnym przede wszystkim dla administracji, borykającej się z trudnościami ustalenia odpowiedzialności materialnej kierownictw placówek za wspólne użytkowanie pomieszczeń. Nie bez znaczenia były również marzenia o tzw. oszczędności na etatach kierowniczych. Znanym zwyczajem „cięcia” dokonano kosztem samych szkół, nie zaś nadzoru administracyjnego. Szybko jednak cały zabieg okazał się chybiony, skoro kierownikom zaczęto dodawać zastępców, co jednak nie polepszyło procesu wychowawczego. Optymalne warunki wychowawcze to bowiem takie — jak wspomniano — gdzie wszyscy znają się wzajemnie. Postulować przy tym należy odciążenie dyrektorów szkół od zadań administracyjnych. Niech spełniają wreszcie funkcje, do których z natury są powołani.

Rozmiary organizacyjne szkoły warunkują także możliwość tworzenia specyficznego klimatu społecznego. Niedawno podnoszono sprawę wypracowywania modelu wychowawczego szkoły, jako czynnika integracji całej zbiorowości szkolnej. Trudno wyobrazić sobie skuteczność takich działań w sytuacji, kiedy wszystkich uczniów nie można zebrać nawet jeden raz w roku na wewnętrzne uroczystości szkolne. Nie uda się wytworzyć trwałych związków emocjonalnych wychowanków z miejscem nauki, jeśli traktować się będzie szkołę głównie jako element obowiązku dydaktycznego w karierze życiowej młodego człowieka.

Nie są to zapewne wszystkie kwestie warunkujące prawidłowości procesu wychowawczego szkoły. Na podstawie wieloletniej praktyki uważam je jednak za zasadnicze, warunkujące wiele innych.

Henryk Soćko

Brunon Rajca

MNIE się zawsze wydawało, że lepiej być mniej zorientowanym, niż bardziej zorientowanym, bo mniej zorientowany ma mniejszą odpowiedzialność. Nawet jak grzeszy, to mu szybciej przebaczą — bo głupi. Należy do mniej zorientowanych, więc nie wiem, jaki pożytek z tej korespondencji z Krakowa, przekazanej pod przymusem naczelnego „Kamenu”. Trzeba na tego człowieka uważać, bo mi zagroził, że nigdy nie dopuści, bym odwiedził ulubiony Naleczów, w którym poznałem wspaniałego lekarza, dra med. Waldemara Krupę. Trudno, przestraszyłem się.

Nie miałem nigdy aspiracji przemawiać w imieniu większych zbiorowości. Myślę, jednak, że mieszkańcy Krakowa w latach 1980-1981 dowiedli, iż są obywatelami rozważnymi i statecznymi. Mając świadomość, jak wielki i znaczący jest to ośro-

dek intelektualny, kulturalny i gospodarczy, w trudnych sytuacjach społeczno-politycznych zachował umiar i rozsądek. Nie bywam socjologiem ani psychologiem, nie potrafię więc wytłumaczyć, jak to się stało, że właśnie w Krakowie — w przeciwieństwie do innych miast w Polsce — nie dochodziło do prymitywnych i głupich skandali, choć dyskusje toczyły się tu żywe i ostre dla narodowego byt!

Może władze polityczno-administracyjne były aż tak przezorne i roztropne? Nigdy nie trudniłem się emokierstwem, więc na temat ludzi eksponowanych wolę milczeć, choć Krystynowi Dąbrowie nikt nie jest w stanie odmówić talentu dyplomaty. Mówi mało, ale konkretnie, a w rozmowie, zajmując się swoją ulubioną fajką — każdy palacz wie, jakie to misterium — ma okazję do namysłu. Nie wypowiada pospiesznych opinii. Także zapewne nie podejmuje pochopnych decyzji.

To powiedziawszy należałoby się zastanowić: dlaczego w Krakowie tak mało zmian personalnych i czy to jest dobrze, czy źle? Niektórzy, choć teniów podniosło ogłaszał wątpliwości i zastrzeżenia — ostali. Nie zawsze mi ideowo bliscy, ale nie jestem zwolennikiem — tak samo jak Mieczysław F. Rakowski — nieustannego spowiadania ludzi, oglądania się w przeszłość. Ten, kto nie patrzy w przyszłość, i w sposób obsesyjno-maniacki, jak sęp rozdziobuje żywych ludzi, którzy mieli prawo do rozterek i wątpliwości — chyba źle życzy —

powiem podniośle — Polsce. Toteż fakt, że Klub Twórców Kultury „Kuźnica”, pod prezesurą znakomitego pisarza Tadeusza Hołuję, podejmuje niełatwe próby godzenia poróżnionych i rozdartych umysłów, zwłaszcza w środowisku artystycznym — nie oszczędzając przy tym przeciwników ideologicznych — należy uznać za dobry omen. Nastroje „Kuźnicy” odzwierciedla pismo intelektualistów „Zdanie”, które powstało pod redakcją Zbigniewa Reguckiego, kiedyś naczelnego redaktora „Gazety Krakowskiej”. Nadmiernie wrażliwy na ludzkie troski i krzywdy, choć nie jest to stan czułościowości, red. Zbigniew Regucki odgrywa w Krakowie rolę człowieka łagodzącego wszelkie napięcia i konflikty, bo ludek — wbrew pozorom — jest i ambitny, i pazerny. Każdy zaś obdarzony tymi przywarami łatwo wpada w skrajności, rozdzielając razy — niczym legendarny „Lajkonik” — na oślep. Trochę więc powściągliwości i ocenie innych nie zaszkodzi, bo siebie gloryfikować potrafimy i szybko, i łatwo. Mówiąc o tym sentymentalnym humaniście Zbigniewie Reguckim, nie przewidując jednak, że w przyszłości przebierze się w sutanne, bo po prostu byłoby mu nie do twarzy.

No cóż, nawet dociekliwi i rzadko obiektywni korespondenci światowych agencji i rozgłośni akredytowani w Polsce, po odwiedzinach Krakowa — a nikt im nie przeszkadzał spotykać się z tymi, z którymi spotykać się chcieli — musieli stwier-

Magia ziół

Dostępne na naszym rynku, bądź nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaje i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Zyciorysy” popularnych roślin ziołowych publikujemy za pionierską na gruncie polskim książką Mariana Janusza Kawalko pt. „Historie ziołowe”, która w roku 1983 ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie.

(Red.)

Biedrzyca mniejsza

Marian Janusz Kawalko

RODZAJ Biedrzyca (*Pimpinella*), podobnie jak kminek zwyczajny, koper włoski, kolendra czy lunczyk, należy do rodziny baldaszkowatych i obejmuje znaczną ilość gatunków. Korzenie biedrzyca mniejsza (*Pimpinella saxifraga*) oraz biedrzyca wielka (*Pimpinella major* Hudson) funkcjonują w medycynie nazewnictwie jako tzw. leki galenowe o słabym działaniu farmakodynamicznym. Kuchniom środkowoeuropejskim jednak nie są one w zasadzie znane. Jedynie na zachodzie i południu Europy młode, drobno pokrojone liście tych roślin dodaje się niekiedy do aromatyzowania surówek. Nasza odwieczna tradycja żywieniowa stale bagatelizowała to zioło. Było zbyt popularnym, a może nawet dokuczliwym chwastem, aby mogło zyskać zaufanie i akceptację szlacheckich oraz królewskich kuchmistrzów. Ludowa medycyna natomiast bez tej rośliny obejść się nie mogła, o czym będzie jeszcze mowa.

Surowcem kulinarnym są zarówno liście, lodyżki, jak i korzenie. Nać biedrzyca zbiera się w początkowym stadium kwitnienia rośliny (czerwiec) i suszy w cieniu — tak jak to czyni się ze wszystkimi olejonośnymi gatunkami. Klęcza oraz korzenie, po wykopaniu jesienią, należy szybko oczyścić i omyć, a grubsze egzemplarze rozciąć, aby ułatwić suszenie. Warto dodać, że cechy organoleptyczne zachowuje przyprawa dość długo, pod warunkiem właściwego jej przechowywania (najlepiej — w opakowaniach szklanych wyłożonych papierem).

Roślinę tę znano już w starożytności. Wzmiankował o niej m.in. Pliniusz Starszy (I w.n.e.), jako lekarstwo na kamienie nerkowe i skąpomocz. U Rzymian gatunek ten — pozyskiwany ze stanu naturalnego, ale także uprawiany — należał do wyborczych środków nasercowych. Leczono nim ponadto choroby kobiece i bóle zębów oraz zmniejszono popęd płciowy u mężczyzn

(w przypadkach ejakulatio peccor). Uzdrawiające cechy zioła znano również w starożytnej Grecji — dając mu imię „kaukalis” — oraz Egipcje. Silny aromat korzeni biedrzyca stanowił o traktowaniu ich jako środka leczniczego przeciwko dżumie.

Nasze XV-wieczne rękopisy lekarskie wymieniały go dość często — przeważnie pod nazwą „wiedrzyca”. Doktor Szymon z Łowicza rekomendował sok z biedrzyca i mniszka lekarskiego chorem na malarię, natomiast wodę biedrzyca przepisywano pacjentom cierpiącym na kamień nerkowy i moczanową. XV-wieczne herbariuse oraz publikacje o podobnym charakterze chwaliły nadto roślinę za to, że ma moc „ocierającą, posilającą, wyciszającą wątrobę i nerki, gdy bywają zamulone; dlatego na początku opuchlin dobrze korzonki w lakwarzu jeść i warząc pić. [...] Pijąc z winem, tedy pomaga boleściom w żywocie, żółtość spędzą”, zaś nastona jej usuwają biegunki (Marcin z Urzędowa). Zioło zazywano po uprzednim ususzeniu i sproszkowaniu lub ugotowaniu w polewkach. Europejskie apteki sprzedawały natomiast ówczesne cukrowane konfekty z korzeniami biedrzyca oraz olejki.

J. T. Tabernamotanus (1520-1580) zachwalał klęcza byliny wraz z korzeniami kołcowojo lekarskiego jako skuteczne remedium na powszechne już wtedy, choroby weneryczne. Warto tu dodać, że ten długoletni medyk biskupa w Heidelbergu, w praktyce swojej używał zasadniczo jedynie domowych simpliów, a z leków złożonych stosował tylko teriak i mitrydat — preparaty znane już starożytnym.

J. Camerarius (1534-1598) natomiast wdział w omawianej roślinie środek na wrzodzące rany i wściekliczne.

Własności terapeutyczne byliny opisał też szeroko w swoim zieleńniku (11 stron drukul) nasz lekarz, Szymon Syreński. Według niego, zarówno surówki jak i sosy (szalsze), sporządzone z młodych liści biedrzyca mniejsza skutecznie pobudzały apetyt. Destylaty wodne z całego, drobno posiekanego zioła, wymieniał on jako skuteczne remedia na wiele schorzeń, także do stosowania zewnętrznego.

Nalewki alkoholowe na korzeniu rośliny znane są od wieków w rosyjskiej i niemieckiej medycynie ludowej, jako lekarstwa w anginach, nieżytach oskrzeli i przeziębieniach.

Trzeba podkreślić, iż odrodzeniowa popularność biedrzyca była w znacznej części efektem szczególnej fascynacji przyrodą oraz rozwoju zielarstwa. Przy obecnym stanie wiedzy medycynie tradycje leczniczego wykorzy-

stania zioła zostały zaakceptowane, choć, jak pisze A. Ożarowski (Ziolo- lecznictwo, PZWL, 1976), brak jest nowoczesnych badań farmakologicznych i klinicznych nad tym surowcem. Unie- możliwia to weryfikację dotychczasowych opinii o właściwościach leczniczych omawianego gatunku. Zaznaczam jednocześnie, że za równorzędną zamianę przyjmowany jest jedynie korzeń biedrzyca wielkiego; reguła ta obowiązuje zarówno w ziołolecznictwie jak i technologii kulinarnej.

Zachwyty nad biedrzyca przeniesiono rychło z aptek do kuchni, próbując uczynić zeń przyprawę. Dość prawdopodobne, iż było to zasługą Francuzów, którzy dostarczyli w zieleńku interesujący składnik aromatyczny sałatek ziołowych — obok rzeżuchy, pleprzycy, estragonu, bazylii, hyzopu, melisy i lawendy. Niemieckie podręczniki kucharskie doby Renesansu i Baroku (M. Marxa Rumpolts, Anny Weckerlin, M. Frantza de Rontziera) zaliczały biedrzyca mniejszy do tzw. „smakowitych ziół”, zaś sałatkę biedrzyca nazywały uzupełniając koniecznie kwiatami ogórecznika lekarskiego, „a tak uczyniona jest cudna”. Rozdrobnionymi korzeniami byliny dosmakowywano też czasem sos — zagęszczony mąką, masłem i żółtkami jaj — w którym duszono baraninę.

nie korzenia bezpośrednio na ciele, przykładanie na łono etc.).

Kuchnia staropolska, ulegając na przestrzeni wieków XVII-XIX różnym modom i wpływom, mało uwagi przywiązywała do przypraw ziołowych. Oznaczało to w praktyce zupełny brak zainteresowania omawianym gatunkiem flory, którego nazwy próżno szukać w starych publikacjach kulinarnych. I chociaż u Remigiusza Ładowskiego (1783) czytamy, iż biedrzyca ogrodowa „można jeść w sałacie, i wchodzi do przypraw kucharskich” — to podobne wzmianki da się przeczytać także w zachodnio-europejskich książkach przyrodniczych typu „historia naturalna”. Nie wykluczone więc, że tu i ówdzie rzeczywiście wykorzystywano roślinę do dosmakowywania niektórych potraw. Znacny lekarz-naturalista, J. A. Dziarkowski, zalecał stosowanie tego zioła w artretyce, dyzenterii, nieregularnych miesiączkach i paraliżu związanym z utratą mowy oraz na poprawienie czynności trawiennych żołądka.

Biedrzyca zadomowił się z czasem w kuchni niemieckiej, przy czym znaczenia przyprawowego nabrały tylko jego korzenie (L. Naumann — Systematik der Kochkunst, 1886). Natomiast u ludu białoruskiego dodawano je, po uprzednim namoczeniu w wodce, do tabaki „dla nadania jej przyjemniejszego zapachu” (M. Federowski, 1897).

Współczesne propozycje kulinarne wykorzystania biedrzyca dotyczą głównie:

— udziału młodych liści rośliny w surówkach, sałatkach dietetycznych, niektórych zupach i sosach zimnych typu winegrek;

— dosmakowania sosów gorących, mało wyrazistych zup, wywarów mięsno-jarzynowych oraz dań mięsnych, półmięsnych i z ptactwa domowego, drobno pokrojonym lub sproszkowanym korzeniem (najlepiej w połączeniu z korzeniem lunczyka).

Surówki z pomidorów i papryki, sałaty kruchej, kapusty mądrej lub jarmużu zyskują na ogólnym wyglądzie, smakowitości i strawności — po dodaniu szczypty drobno posiekanych liści biedrzyca. Podobnie należy postępować, przygotowując sałatkę jarzynową. Trzeba pamiętać jednak o zachowaniu odpowiednich proporcji między ilością głównych składników potrawy, a ilością aromatyzatorów (przyprawy i doprawy). Takie właśnie sposoby użytkowania zioła są popularne głównie w rejonie Morza Śródziemnego oraz Wysp Kanaryjskich (kuchnia ludowa).

Doprawianie sosów biedrzyca można przeprowadzać tak zwaną metodą węgierską. Polega ona na sporządzeniu korzennego odwaru np. dziesięcioprocentowego (niekiedy mocniejszego), a następnie dodaniu go do bulionu lub sosu.

Mielonym korzeniem biedrzyca zaleca się także nacierać różne gatunki mięsa przed smażeniem lub duszeniem. Wydaje się jednak, że najlepiej czynić tak z mięsem wołowym i baraniną. Interesujące efekty smakowe można również uzyskać w potrawach przy zmieszaniu rozdrobnionych korzeni byliny i innymi, mniej pachnącymi ziołami suszonymi.

Na Kaukazie liście *Pimpinella saxifraga* dodawane są do różnych odmian pilawu oraz niektórych gatunków herbaty i wędlin. Tam też utrzymał się jeszcze zwyczaj przyprawiania wina i piwa ziołem biedrzyca.

W oficjalnej klasyfikacji kulinarnej omawiana przyprawa nie występuje od lat kilkudziesięciu. Jeśli więc reklamujemy ją, to czynię na podstawie osobistego doświadczenia. Uważam, że czas przywrócić do łask kucharskich omawiany gatunek, szczególnie w żywieniu dietetycznym i stołkowym. Odwary z korzeni biedrzyca, przyjęte w postaci napoju, łagodzą przewlekłe nieżyty żołądka i jelit, a także schorzenia wątroby. Potrawy zaś, prócz lepszego smaku, stają się łatwiej strawne.



Rys. Maria Tyzenhaus

Co tu ukrywać — kuchnie europejskie, zafascynowane ingrediencjami egzotycznymi, nie potrafiły, osławionej przecież roślinie, nadać w pełni kulinarnego znaczenia. Prawda, że w wieku XVII zaczęto praktykować w zachodniej Europie dodawanie świeżej naci biedrzyca lub korzeni do win, celem polepszenia ich walorów organoleptycznych i trwałości. Prawda, że zioło wchodziło również w skład mieszanki aromatyzującej ocet spożywczy — ale były to naówczas jedyne oznaki zainteresowania przyprawą w kuchniach i piwnicach.

Medycyna natomiast u naszych zachodnich sąsiadów tak się korzeniem biedrzyca zauroczyła, iż w oświeceniowych encyklopediach został on ochrzczony „wspaniałą niemiecką driakwią”. Na równi z korzeniem traktowano owoce i sok z ziela rośliny: jako panacea na zatrucia, zatwardzenia, choroby głowy, wrzody nowotworowe i świeże rany. Aczkolwiek surowce lecznicze zbierano dość często ze stanu naturalnego, to czasem także wprowadzano biedrzyca do celowych upraw, rozmnażając go z kłączy lub nasion. Zwyczaj ten praktykowano m.in. również w dawnej Polsce. Jedyne ówczesne sposoby leczniczego użycia zioła mogą wydać się niekiedy podejrzane (nosze-

Barbara Radziwiłłówna

Zbigniew Kuchowicz

-Fragmenty-

Ostatecznie nie była żadnym Kopciuszkim, lecz wielką, bogatą damą, przedstawicielką możnego, aspirującego do książęcej mity rodziny. Wierzę, że Radziwiłłowie już wtedy pozowali na terenie Wielkiego Księstwa wzrost na udziałnych władców, stąd też nie było w Barbarze jakiegoś, większego przynajmniej, kompleksu niższości. Wielkiego także, iż współcześnie panujący popielinali rozmaite megalanie, w tym czasie wielokrotnie przecież żenił się ze swymi poddankami angielski Henryk VIII, wkrótce później głośno megaliansi popielnił król szwedzki Eryk XIV. Wiedziała, że tego rodzaju zdarzały się także przodkom Augusta, z poddankami przecież zawierał dwukrotnie związki małżeńskie jego pradziad Władysław Jagiełło. [...] Można więc snuć przypuszczenia, iż jej rojenia przybierały nawet jakieś konkretne kształty, że podświadomie nurtowały ją jakiegoś plany. Źródła nie dostarczają jednak jakichkolwiek podstaw do stwierdzenia, że Barbara swetafajne marzenia chciała za wszelką cenę zrealizować. [...] Inny pogląd na tę sprawę mieli jednak

jej bracia — Rudy, a przede wszystkim pełny niezmiernych ambicji i żądny władzy — Czarny Radziwiłł Rola Barbara jako konkubiny królewskiej na chuzszą metę im nie odpowiadała. [...] Po trzech latach królewskich amarów poczęli inaczej działać [...], postanowili zagrać o najwyższą stawkę i doprowadzić do małżeństwa Barbary z ostatnim Jagiellonem. [...] Chcieli zostawić krewnym Zygmunta Augusta, a przez niego spowinowacić się z większością domów panujących ówczesnej Europy. Przez Barbarę postanowili uzyskać stały wpływ na króla, przez nią chcieli wdać Wielkim Księstwem Litewskim, wpływać na sprawy całego wielkiego państwa. Barbarę traktowali jako rzecz, atut w tej wielkiej grze, przynętę, przy której pomocy postanowili ostatecznie omołoc młodszego króla.

[...] Zygmunt August nie był osobą prywatną, był przecież faktycznym Wielkim Księciem Litewskim i następcą tronu w Polsce, musiał liczyć się z opinią i interesami dynastii i państwa. Już w tym czasie znajdował się pod pewną presją, z wielu stron domagano się od niego, by zerwał z Radziwiłłówną, wyzwoił się z okazywanej jej uległości. [...] A Radziwiłłowie czuwali. Przewidzieli zapewne przebieg królewskiej przegody, możliwe że podstawił władcy kobietę, która nie odpowiadała jego gustom, która go zniechęcała. A może miała miejsce jakaś inna, zręczna intriga. Przytoczalne świadomie zainscenizowali aferę, w której rezultacie król zniechęcił się do miłośnicy zastępującej Barbarę. O to właśnie chodziło. [...] Jest prawdopodobne, że do intrigi wciągnęli siostrę, która mogła zgodzić się na odegranie roli

swego rodzaju przynęty. Sprawa jest nader zawiła i subtelna, braci Barbary podejrzewać można jednak o skrajny maktywizm. Otóż mogli mówić jej, lub też podtrzymać spotrzenie, umiarkowania Barbary, iż jest w ciąży. [...] Spragniony swej niezastąpionej kochanki, powiadomiony o zmianie jej stanu August udał się do ukochanej. [...] Według wszelkiego prawdopodobieństwa schwytanego in flagranti w sypialni siostry króla nakłoniono do małżeństwa. Otrzymanie przyrzeczenia małżeństwa przyszło im o tyle łatwiej, że Barbara poczuła się, czy też jej się to tylko wydawało (co bardziej wiarygodne), w odmiennym stanie. Nadzieja posiadania potomka przyspieszyła, a może nawet, co jest najbardziej prawdopodobne, była zasadniczą przyczyną wyrażenia zgody na małżeństwo przez bezdzietnego dotąd, a ostatniego z rodu króla. Można przypuszczać, że Zygmunt August godząc się na ślub klerował się mniemanem, iż w tym momencie legalizuje swe ojcostwo, daje wino jagiellońskie mającemu przyjąć na świat dziecko, nowemu, wycekiwanemu panu i dziedzicowi Polski i Litwy.

[...] Wydaje się prawdopodobne twierdzenie Jasnowskiego, że ślub nie odbył się natychmiast, czas tajnej schadzki. Zygmunt August był człowiekiem nadziej inteligentnym, krytycznym i dumnym, by pozwolił się zaślubić jak jakiś gamon czy młodzieniaszek, który pierwszy raz ma do czynienia z kobietą, którego można zastraszyc, zmusić. Zaślubiny podczas schadzki wyglądałyby na jaskrawy szantaż, przymus; na coś podobnego król nie mógłby się zgodzić. Nie wygląda jednak

na to, by między tą schadzką a tajnym ślubem upłynął dłuższy okres czasu. [...]

Przez kilka tygodni zażywała Barbara, aczkolwiek tajnego, to przecież małżeńskiego szczęścia. W listopadzie (1547 r.) nastąpiło rozstanie. Zygmunt August, który udawał się do Polski, by przygotować grunt dla ogłoszenia swego małżeństwa, postanowił umieścić żonę w bezpiecznym, spokojnym miejscu. Już wtedy obawiał się bowiem zdrady i zamachu. Po naradach zdecydowano się na Dubinki, posiadłość Radziwiłłów, położoną o jeden dzień drogi od Wilna. Znajdował się tam stary zamek obłany prawie wokół pięknym, ocienionym lasami jeziorom. Było to miejsce istotnie bezpieczne. [...]

Nazajutrz po przybyciu, tj. 20 listopada, nasza bohaterka pomóc poroniła, przez cały tydzień leżała wśród objawów chorobowych, przejawiających się spazmami, bólami i omdleniami. Trudno dociec, czy rzeczywiście nastąpiło poronienie. Przyjmuje się, że okres ciąży był wczesny. Przepuszczalnie było to raczej krwawienie czy nawet krwotok występujące na innym tle. [...] Pobyt w Dubinkach, ze względu na perypetie związane z ogłoszeniem małżeństwa, przeciągał się na cały miesiąc. Był to wyjątkowo trudny, nieprzyjemny okres w życiu Barbary. Była przecież słabnącą królową lecz całą rzecz chowano w tajemnicy. W Dubinkach trzymano ją niby w więzieniu, odizolowaną od świata, od uciech, do których przywykła.

W. L.

e.d.n.

Wielcy magnaci nie lubili długo przebywać w Warszawie; przywykli po swych dworach do hotelów, czolobitności, plackopadań — brakło im tego w stolicy. [...]

Książę Adam ze starannego wychowania, dobrych manier, braku charakteru, z zamiłowania do lekkich wierszy i kobiet — był bardzo podobny do Poniatowskiego. Jak on zachęcał młodzież do solidnych studiów, a sam był zbyt leniwy, by coś umieć gruntownie. Nie nosił go jednak w sercu, nie mógł zapomnieć, że rodzina jego przeznaczona do tronu, że brat cioteczny go ubiegł nie dzięki większym zaletom umysłu czy serca, lecz zgola innego organu... Pałac Błękitny zawsze ział zjadliwą krytyką i opozycją w kierunku Zamku; Stanisław August, by ułagodzić braciuzka, zaproponował mu godność marszałka na trybunale grodzieskim. Łasy na przewodzenie książę Adam zgodził się chętnie. Nie przyjąwszy, ku powszechnemu zdziwieniu, zwykłego od króla dla marszałków zasiłku — 40 000 zł, w ogromnej azyście ruszył do Grodna.

Pierwszy raz ujrzał Niemcewicz ten najwyższy sąd Rzeczypospolitej, od którego nominalnie nie było apelacji. Składał się on z 20 szlacheckich deputatów i 10 duchownych; bardzo rzadko obradowano w pełnym kolegium, bo rzadko siromom starczyło pieniędzy na obdarowanie wszystkich sędziów, a deputat co nie otrzymał zniżką ławpówki nie interesował się sprawą i wolał spać w domu. Wobec sknerstwa sirom po kilkanaście dni nie dochodziło do sesji z braku kompletu. Musiał marszałek objędnąć deputatów i prosić jak o łaskę, by raczyli się zejść

Cała ta napuszona gwara oznaczała najprostszą rzecz w świecie: cywil wstępował do towarzystwa wolnomularskiego, zostawał członkiem-kandydatem, studiował statut i ideologię towarzystwa, podczas zebrania gapił się na zarząd i prezesa, słuchał odczytywania protokołów uprzednich posiedzeń przez sekretarza, gleden wiceprezesa o moralności i miłości, wniosków zarządu, zasiadał do kolacji zakrapianej winem...

Wypowiedziane normalnie, rzeczy te traciły potężny orok i całkowicie grozę.

Przechodził potem brat, czyli członek, wtajemniczenie — z proskiem wdmuchiwany mu do nosa, z trumnami, sztyletami, pseudo-morderstwami; awansował w stopniach, których było 33, przy czym każdy miał inny lokal (2-gi stopień — 2 pokoje! 4-ty stopień 4 pokoje! co za pomysłowość!!!), inne obicia, innego patrona, w każdym bracia nosili innego koloru gacie i fartuszki; przyozdabiał swiątynię — i to wszystko by wreszcie, jako jedyną działalność, rozdać ubogim nieco zupy rumfordzkiej.

Zgłębianie dziwactw poszczególnych stopni absorbowalo cały czas, zawilość form, metność ideologii, bzdurny statut pokrywały istotną nicotą, unie-możliwiała wszelką akcję. Ale bo też nikt nie zostawał masonem by coś robić. Budowa Salomona była zabawą towarzyską, ciucubabką dla dorosłych i niczym więcej. Tyłko prostaki nie brali w niej udziału. Żadna solidarność, wielka polityka ani się sniły mularzom — nie cierpieli się często, zwalczałi, szkalowali... W salonach — owszem; w polityce Towarzystwo Mularskie nie miało żadnego wpływu ani znaczenia.

Taniec nad przepięścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu”.

Wzorem karczm przydrożnych, silących się na poetyczne szydy, jak „Pod trzema Prosiakami”, „Pod Skutecznym Jajkiem” — i loże pomniejszych, filialnych centralnego w Polsce Wielkiego Wschodu przybierały efektowne nazwy: Pod Chotliwym Sarmatą, Gorliwego Litwina, Dobrego Pastiera, Trzech Braci (należał ks. Adam), Pod Trzema Hełmami (łóża Stanisława Augusta), Niemcewicz wstąpił do Tarszy Północnej.

O ile istnienie Towarzystwa Mularskiego było zupełnie jawne, o tyle jego cele i działalność tak świetnie zakompirowane, że nawet członkowie nie mieli o nich wyobrażenia.

Świątowy przekształcał się w Budowie Salomona w Nieoclosany Kamień, przenikał Budowę Mularską, nasał Sztuką Królewską, podczas Prac sycił się Warsztatem i Mistrzem, wchłaniał Księgi Budownicze z ust Dozorcy, roztrząsania Wielkiego Brata Przyspóbiela o Świątłach Wysokich i Małych, łowił dźwięki Projektów od Miotka, przystępował do Biesiady z Prochem...

cras. 2552/1982/

(cdn.)